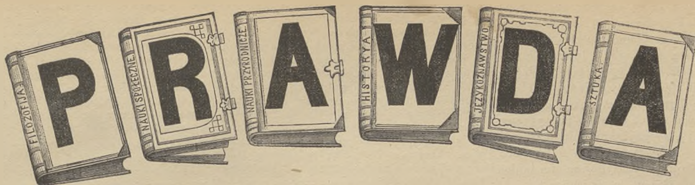
Nr. 28. Warszawa, dnia 11 Lipca (29 Czerwca) 1891 r. **Rok XI**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Od dnia 1 lipca Administracya **Prawdy** mieści się w prawej oficynie, na drugiem piętrze tego samego domu.

POLITYKA.

NOWA TARYFA.

Ogłoszenie ruskiej taryfy celnej stanowi dla całego świata produkcyjnego, a zwłaszcza dla Europy wypadek pierwszorzędnej wagi ze względu na ogrom rynku zbytowego, któremu nowe prawo podyktowało nowe warunki. Chwila ta była oczekiwana niecierpliwie, a w ostatnich, poprzedzających ją tygodniach nastrój przez nią wywołany doszedł do niezwykłej gorączki. Wiadomo, jak giełda i wogóle handel umie stwarzać dziwy z niczego; cóż dopiero, gdy ma jakikolwiek materyał! A materyału tego nie brakło. Wydane w roku zeszłym tymczasowe przepi- podwyższające miarę celną o 20%, posłużyły za grunt agitacyjny w kierunku przypuszczenia, że nowa taryfa obciąży wszystkie towary nadzwyczajnemi opłatami. Prąd ochronny, przenikający obecnie wszystkie państwa europejskie, zawarte między niektóremi z nich traktaty, poręczające wzajemnie stronom przywileje dla ich głównych wytworów — czyniły to domniemanie wielce prawdopodobnem. W drugiej też połowie czerwca ruch przywozowy z zagranicy znacznie się ożywił i zgromadził obfite zapasy towarów, ażeby na nie potem nie spadł większy ciężar podatkowy.

I oto nareszcie została ogłoszona nowa taryfa. Czy ona stwierdziła związane z nią domysły? W przeważnej części — nie. Jakkolwiek bowiem ujawnia w każdym punkcie charakter wysoce ochronny, nie posuwa się w nim o wiele dalej po za kresy dotychczasowe, a nawet tu i owdzie od niej się cofa. Wspomniane przepisy tymczasowe z roku minionego wprowadziły tak znaczną podwyżkę ceł, że powiększenie ich było często niemożliwe, a — jak utrzymuje *Swiet* — niepotrzebne, gdyż wzmocnione finanse państwa pozwalały mu kierować się także innemi pobudkami, niż korzyści skarbu. Ile razy więc — według tego dziennika — jakiś produkt zagraniczny uznany został za wpływający dodatnio na ukształcenie smaku i podniesienie kultury, a nie jest lub nieprędko wytwarzany będzie w Rosyi, uwalniano go od zbyt wygórowanych ceł. W tym jednym punkcie możnaby dopatrywać pewnego uwzględnienia Francyi, dostarczającej głównie tego rodzaju produktów. Zresztą nowa taryfa strzeże się wszelkich tendencyj i usiłuje zachować postawę bezstronną wobec wszystkich krajów, z którymi Rosya pozostaje w stosunkach wymiany handlowej. Zaznaczyć wszakże winniśmy, że uwaga ta w praktyce może uledz pewnemu zawarunkowaniu. Z samego bowiem przeczytania spisu tylu towarów, których pochodzenie i drogi przywozu nie zawsze są wiadome, trudno odrazu zoryentować się w lesie cyfr i nazw, a jeszcze trudniej sprawdzić przeprowadzoną w nich zasadę równouprawnienia.

Jeżeli tedy nowa taryfa omyliła po części obawy jednych, to zarazem rozproszyła nadzieje innych. Pamiętając, jak to nieprzerwanie rodziły się ongi w naszem Towarzystwie popierania przemysłu i handlu projekty podwyższenia muru celnego, jak każdy pragnął nim ubezpieczyć od współzawodnictwa swój interes, możemy sobie wyobrazić, co się działo w tym kierunku na całym obszarze państwa. Do komisyi nadlatywały ze wszech stron niezliczone chmary próśb o przeróżne podwyżki ceł i zakazy przywozu, tak, że gdyby wszystkim chciano dogodzić, wróbel przelatujący swobodnie granicę byłby kontrabandą. Otóż ci wszyscy zwolennicy systemu protekcyjnego, posuniętego do krańców, nie mogą być z nowej taryfy zadowoleni. Jednemu wydają się one za pobłażliwe dla obcego łoju, drugiemu — dla tytoniu, trzeciemu — dla zabawek dziecinnych i t. d. Pomimo wszakże takich utyskiwań nie ulega żadnej wątpliwości, że z każdego jej paragrafu przegląda myśl ochrony przemysłu ruskiego.

W zniżeniu opłat najwięcej stosunkowo ulg nowa ustawa zapewniła ziemianom przez zmniejszenie ceł na maszyny i narzędzia rolnicze.

Po ogłoszeniu traktatu handlowego austro-niemieckiego, po dokonaniu zamierzonych zmian celnych w państwach, które wypowiedziały układy dotychczasowe, będziemy niedługo mieli całkowity obraz ekonomiczny stosunków Europy pod względem wymiany towarów. Główne rysy tego obrazu są nam już dziś wiadome: będzie to zupełne porzucenie wolnego handlu i zwrot ku protekcyonizmowi. Wraz z tym zwrotem punkt ciężkości współzawodnictw międzynarodowych z dziedziny politycznej przesuwa się w ekonomiczną. Państwa już nie tyle ubiegać się i walczyć będą o kawałki krajów, ile o rynki i rozwój swych produktów. To będzie główna pobudka sojuszów i wojen. Na tę głęboką i charakterystyczną przemianę wskazujemy oddawna i mniemamy, że dziś już tylko chyba politycy bardzo starego i przedawnionego kroju wierzą, że jakaś osobista sympatya lub

antypatya, jakiś przyjazny uśmiech lub ubliżający dąs mogą utrzymywać Europę w zgodzie lub rozdzierać ją starciami orężnemi. Teraz narodom nie chodzi o wawrzyny, sławę, idee, ale o interesy materyalne, o chleb, wygodę, dostatek lub zabezpieczenie się od ruiny. Napoleon I spotkałby się dziś z szyderczym śmiechem, gdyby wezwał swych rodaków na wyprawę awanturniczą, ale gdyby im obiecał szeroki upust dla towarów francuskich na wyspach oceanu Spokojnego, ruszyliby za nim milionową armią. Czasy się zmieniły.

Z PARLAMENTU AUSTRYACKIEGO.

W lipcu.

Jaworski o szkole wyznaniowej. — Fatalne skutki jego przemowy. — Wojna Koła polskiego z korespondentami pism polskich. — Madejski i Biliński o polityce Koła. — Postępy związku z lewicą. — *Fontaine lumineuse* parlamentarna. — Pernerstorfer o stosunkach młodzieży szkolnej w Galicyi. — Odpowiedź Gautscha.

Przemowa, z jaką Jaworski wystąpił podczas rozprawy budżetowej w parlamencie austryackim, wywołała skutki nieprzewidziane i niezbyt miłe dla Koła polskiego. Odpowiednio do nowego układu stronnictw w parlamencie, w sposób energiczniejszy, niż przed rokiem zaznaczył on, że Koło nie poda nigdy ręki klerykałom do zreformowania szkolnictwa austryackiego w duchu wstecznym, lecz że dążyć będzie do utworzenia zgody między nauką świecką a wymaganiami kościoła przez działalność ciał autonomicznych. Oświadczenie to, a zwłaszcza stanowcza jego forma sprawiły, iż naprzód w łonie samego Koła powstały zarzuty przeciw Jaworskiemu, które rzekomo niepotrzebnie podrażnił dawnych sojuszników. Żądano, aby drugi mówca oznajmił w parlamencie, że prezes nie przemawiał w imieniu całego grona. Większość jednak zsolidaryzowała się z wywodami Jaworskiego. Zajścia te zdradził któryś z posłów jednemu z dzienników wiedeńskich, wskutek czego Koło znalazło się w położeniu kłopotliwem. Winę posła pomściło ono w sposób arcynielogiczny na korespondentach pism polskich. Na jednem z posiedzeń pewien mówca wyraził się o nich w sposób tak obrażający, że wszystkie znaczniejsze dzienniki galicyjskie postanowiły dopóty nie ogłaszać komunikatów Koła, póki ono nie da ich korespondentom pełnego zadośćuczynienia. Nieraz to już korespondenci pokutować musieli za niedyskrecyę posłów; całą tę sprawę atoli uważać można za prywatną, gdyż nie ma ona najmniejszej donośności politycznej.

W parlamencie jednak Koło zajęło stanowisko, zasługujące ze wszech miar na uznanie. Mimo podżegań klerykałów, Ebenhocha i Dipaulego, Madeyski, występując w imieniu towarzyszów, zaznaczył, iż w sprawie szkoły wyznaniowej trzymać się będzie zasad, określonych przez Jaworskiego. Wyraźniej jeszcze, niż ten ostatni, stwierdził, że Koło, zastrzegając sobie na razie zupełną niezależność, jako stronnictwo konstytucyjne i państwowe współdziałać dziś może z lewicą niemiecką, której programem było zawsze popieranie konstytucyi, a która dziś zamierza też być podporą rządu. Też same myśli przewodnie wyraził Biliński, jako referent generalny budżetu. Dalszy rozwój stosunków zależy według niego od konieczności politycznych, które się z czasem wyłonią i od zachowania się prozesa ministrów.

Na razie jednak, mimo iż oba stronnictwa rezerwują sobie prawo cofnięcia się, polacy i lewica zbliżają się ku sobie. Daremnie Dipauli przypomina Kołu adres, który klub niemiecki przesłać zamierzał Bismarkowi po pamiętnej jego mowie przeciw polakom; niemcy dowodzą przeciwnie, że z chwilą, kiedy ustąpił minister Dunajewski, upadła wszelka zapora między lewicą a posłami galicyjskimi. Przypominają oni, że nici łączące Koło ze stronnictwem wiernokonstytucyjnem nigdy całkiem nie były zerwane. W ministeryum Auersperga zasiadał Ziemiałkowski, a nawet wówczas, kiedy Grocholski wraz z Lienbacherem i Prażakiem kierowali opozycyą przeciw gabinetowi niemieckiemu, dzięki roztropności i taktowi Lessera i Stremayera posłowie polscy nieraz szli ręka w rękę ze stronnictwem liberalnem. Podnoszą dziś niemcy ze śmieszną emfazą, że reforma konstytucyi po ugodzie węgierskiej nie byłaby nigdy nastąpiła bez współdziałania polaków i że ci, nie żądając ani uznania galicyjskiego prawa państwowego, ani koronacyi, są podporami dzisiejszej konstytucyi, a jako tacy naturalnymi sprzymierzeńcami niemców. Takiemi to barwami świeci dziś parlamentarna *fontaine lumineuse*, zmieniająca kolory z czarodziejską szybkością...

Nie mamy zamiaru streszczać w krótkiem sprawozdaniu całego toku obrad parlamentu austryackiego, obfitszych i ciekawych mimo spóźnionego sezonu, niż zazwyczaj. Wspomnimy jeszcze, że dzięki odwadze i dobrej woli posła Pernerstorfera, usłyszano w parlamencie bliższe szczegóły o opłakanym stanie szkolnictwa galicyjskiego.

Na wywody Pernerstorfera odpowiedział minister Gautsch. Informacye Pernerstorfera nazwał jednostronnemi, a postępowanie senatu krakowskiego pochwalił. Środki użyte przez senat, zdaniem Gautscha, były łagodne, a wymiar kar odpowiadał żywotnemu interesowi uczącej się młodzieży, którą chronić należy przed jej uwodzicielami... Taką była treść istotna umiarkowanej zresztą przemowy ministra. Z prawdziwą furyą natomiast rzucili się na Pernerstorfera posłowie krakowscy. Żądanie ich, aby on zostawił stosunki galicyjskie opiece przedstawicieli galicyjskich, jest śmiesznem wobec faktu, że Koło polskie jest ciałem zamkniętem o zasadach ściśle wytkniętych, a niedozwalających podnoszenia pewnych arcydoniosłych dla kraju kwestyj. Nieraz to już pokrzywdzone grupy społeczeństwa galicyjskiego zwracać się musiały do niemieckich posłów demokratycznych z prośbą o wniesienie ich skarg w parlamencie, gdyż posłowie polscy skrępowani byli solidarnością Koła. Wdzięczną pamięć zachowuje Galicya w tym względzie Kronawetterowi, a poseł Pernerstorfer zaskarbił sobie serca wszystkich tych, którzy nie patrzą na świat przez szkła krakowskie.

S-z.

---

3)

KNUT HAMSUN.

GŁÓD.

Spokój jego gniewał mnie; mówiłem głosem zirytowanym, całkiem poważnie. Zapomniałem o skradzionych aktach, o traktatach politycznych: mała, płaska paczka leżała teraz na ławce między nami, a ja do zbadania jej zawartości najmniejszej nie miałem ochoty. Zajęło mnie własne bajanie; przed oczami snuły mi się dziwne obrazy; krew uderzyła mi do głowy, zaśmiałem się z całego gardła.

Staruszek zdawał się zabierać do odejścia. Wstał i ażeby oczywiście nie urwać rozmowy nagle, zapytał:

— Ten Happolati ma podobno ogromne posiadłości?

Jakiem prawem ten ślepy, wstrętny starzec śmiał powtarzać nazwisko, które ja wymyśliłem, jak pierwszy lepszy napis, widniejący na budzie kramarskiej? Nie zabaczył się ani razu, nie zapomniał ani jednej zgłoski: nazwisko to wielu korzonkami natychmiast uczepiło się jego mózgu... Byłem zły, rozgoryczony na tego człowieka, którego nic nie zdołało wywieść z równowagi i nic podejrzenia w nim wzbudzić...

— Tego nie wiem — odrzekłem prędko— wcale nie wiem. Zresztą powiedziałem panu raz na zawsze, że z inicyałów sądząc, kupiec ten zowie się Jan Arendt Happolati.

— Jan Arendt Happolati! — powtórzył trochę zdumiony moją gorączką, poczem zamilkł.

— Gdybyś pan zobaczył jego żonę— mówiłem prawie w szale — tęższej osoby... Co, pan nie wierzy, że jest wyjątkowo tęgą?..

— Owszem, nie przeczę temu bynajmniej; człowiek jak Happolati mógł przecież mieć i bardzo otyłą żonę.

Starzec odpowiadał na wszystkie moje wybuchy łagodnie i spokojnie: zdawało się, że szuka słów, ażeby mnie nie obrazić, nie podrażnić.

— Cóż to, do stokroć tysięcy, cóż to... czy może myślicie człowieku, że ja kłamię? — zawołałem wściekły. Może pan nawet nie wierzysz, że istnieje ktoś, nazwiskiem Happolati? Jeszcze nie widziałem, ażeby stary człowiek był tak zły i uparty? Cóż się panu śni u dyabła? Może nadto jeszcze myślisz, że ja jestem biedakiem, który siedzi tutaj w odświętnem swojem ubraniu, a nawet papierośnicy przy sobie nie ma? Proszę wiedzieć, że nie przywykłem do takiego obejścia, że nie zniosę go ani od pana, ani od kogokolwiek innego... Proszę o tem pamiętać!

Stary podniósł się. Wysłuchał mojej tyrady bez słowa, z otwartemi ustami; kiedy skończyłem, zabrał spiesznie swoją paczkę i oddalił się, drepcząc, jak zwyczajnie starzy.

Zostałem i śledziłem jego plecy: nikły coraz bardziej i coraz więcej zdawały się pochylać. Nie wiem dlaczego, ale nagle doznałem wrażenia, jakoby plecy te były napiętnowane bezecześcią i występkiem tak, jak żadne inne na świecie; nie żałowałem, żem starego przed rozstaniem zwymyślał.

Dzień chylił się ku zachodowi; słońce już się kryło, w drzewach wiatr cicho szeleściał; niańki, które gromadkami stały koło huśtawki, zaczynały powracać już z dziećmi do domu. Było mi dobrze i lekko na sercu. Wzburzenie, w jakiem się znajdowałem przed chwilą, gasło powoli, uczułem zmęczenie i senność; chleb, spożyty w wielkiej ilości, działał widocznie na mój organizm. W jaknajlepszym humorze oparłem się o ławkę, zamknąłem powieki... coraz cięższe; zdrzemnąłem się i byłbym na dobro zasnął, gdyby nie dozorca parku, który, dotknąwszy ręką mego ramienia, zawołał:

— Tutaj spać nie wolno!

— Nie! — odrzekłem, zrywając się w tejże chwili.

I odrazu cały smutek mego położenia stanął mi żywo przed oczami. Trzeba było koniecznie cośkolwiek przedsięwziąć, poradzić sobie w jakikolwiek sposób. Posady znaleźć nie mogłem, rekomendacye były już stare i pochodziły od osób za mało znanych, aby mogły wywrzeć należyty skutek; prócz tego niepowodzenie w ciągu całego lata odebrało mi odwagę. A tymczasem komorne należało opłacić; jak znaleźć sposób na pokrycie należności? Inne drobiazgi niech czekają!

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Dziennikarze jednak bardzo żałują, że Bismark przestał być kanclerzem Niemiec. Ile on im dostarczał ciekawego materyału i jak od jego dymisyi gazety straciły na ożywieniu! Dawniej nie było prawie dnia, ażeby telegraf nie rozniósł po świecie z Berlina jakiejś ważnej lub intrygującej wiadomości o „żelaznym księciu"; teraz nie ma Figara, czy Mefistofelesa, który był wszędzie. To też nie dziwno, że dziennikarze tęsknią do tego człowieka, że go odwiedzają lub wskrzeszają we wspomnieniach. Świeżo uczynił to paryski korespondent *Timesa*, Blowitz. Niemiecki ambasador hr. Münster miał mu opowiadać, że już Wilhelm I skarżył się na swego kanclerza, który „swym cieniem sięga do połowy" tronu, naokoło siebie utrzymuje atmosferę ciągłego rozdrażnienia i popycha zbyt samolubnie swego syna na coraz wyższe posady. W pamiętnym dniu dymisyi Munster był u Bismarka, który rozmawiał z nim tak chłodno o możliwości ustąpienia, że wprawił go w zdumienie swym olimpijskim spokojem. Oddano mu list. Bismark otworzył go — i nagle przeistoczył się w innego człowieka. Klął, złorzeczył, pienił się i targał, jak dziki zwierz na łańcuchu, nawet gryzł. List zawierał przyjęcie przez monarchę dymisyi, czego Bismark, który tyle razy używał jej jako środka wywarcia nacisku, nie spodziewał się. W głowie jego nie było miejsca na pojęcie tego, że on może być uwolniony od obowiązków. „Ten człowiek śmie mnie..." krzyczał we wściekłym gniewie. Niestety, „ten człowiek śmiał," chociaż go nazwał „chorążym," chociaż powszechnie przypuszczano, że będzie tylko biernym bałwochwalcą Bismarka.

Podane przez Bismarka fakty (z wyjątkiem może skarg Wilhelma I) są niewątpliwie wiarogodne, bo się zgadzają z innemi źródłami; tylko hr. Münster został zapewne wprowadzony do opowieści fantazyą korespondenta, który nawet kilkoma wyrazami nasuwa to przypuszczenie.

Cesarz Wilhelm z Holandyi pojechał do Anglii, gdzie go przyjmują bardzo uroczyście. Czy celem jego podróży jest przyczepienie Anglii bodaj luźnie do potrójnego przymierza, czy też zwykła przyjemność wycieczki letniej — niepodobna rozstrzygać przy braku wszelkich danych i wobec znanego zamiłowania Wilhelma II do podróży. To tylko jest rzeczą pewną, że Anglia nader przyjaznem okiem patrzy na troisty sojusz, gdyż on pośrednio ją również ubezpiecza i podtrzymuje pokój, który dla jej kupieckiego stanowiska ma wielkie znaczenie. Mówiono w ostatnich tygodniach, że i ona przystąpiła do tego sojuszu formalnie. Nie wydaje nam się to prawdopodobnem, gdyż polityka wolnej ręki za zbyt wrosła w tradycye dyplomacyi angielskiej i — przyznajmy — oddala jej wielkie usługi.

Parnell poślubił panią O'Shea, która stała się mimowolną przyczyną tylu jego walk i kłopotów, ale tem małżeństwem bynajmniej nie ułagodził duchowieństwa irlandzkiego, które ugodziło go nowym piorunem. Jeszcze raz go wyklęto i wezwano naród do odwrócenia się od grzesznika.

Awantura miłosna wichrzy dalej Rumunię. Panna Vacavesca, która rozkochała następcę tronu, ma być niemłodą, wielce pretensyonalną poetką, wielce cenioną przez królowę. To też (Carmen Sylva), chcąc jako wieszczka wieszczkę podnieść na najwyższy szczebel ludzkich dostojeństw, wprowadziła do serca przyszłego króla. Przeciw temu związkowi opiera się całe otoczenie, zwłaszcza minister wojny, ale idealna Carmen Sylva, niepojmująca względów politycznych i pragnąca koniecznie osadzić poetkę i przyjaciółkę na tronie, błaga męża i ministrów, ażeby nie rozdzierali kochanków.

Po ustąpieniu Bismarka, który nagle z wszechwładcy stał się właścicielem paru folwarków, nie było wypadku, który by wykazywał tak straszną przemianę kolei losów ludzkich, jak wciągnięcie Lessepsa do procesu karnego, wytoczonego w sprawie kanału Panama. „Wielki obywatel świata," „pierwszy francuz," genijalny inżenier, który przebił międzymorze Suez — stawał jak zwykły winowajca przed sędzią śledczym. Podobno rodzina wmawia w nieprzytomnego starca, że on występuje tylko jako świadek, ale ta mistyfikacya długo trwać nie może. Ile Lesseps zawinił — niewiadomo; ale że przedsiębiorstwo kanału panamskiego, w którem setki tysięcy niezamożnych ludzi straciły swoje oszczędności, było strasznem łupiestwem, to nie ulega zaprzeczeniu. Dość tylko przejrzeć znane już rachunki sum, wypłaconych prasie francuskiej za milczenie o nadużyciach i budzenie ufności. A ile tam pożarło złodziejstwo innemi gębami!

DONIESIENIA URZĘDOWE.

Pospolite ruszenie.

(Dokończenie).

10) Osoby, zaliczone do szeregowców pospolitego ruszenia, po uwolnieniu się z wojska stałych przeznaczone są do służby czynnej w kolei terminów uwolnienia się z wojska, poczynając od ostatniego.

11) Liczba szeregowców pierwszej kategoryi, niezbędna do skompletowania wojsk stałych lub sformowania oddziałów pospolitego ruszenia, oznaczona będzie w Najwyższym ukazie do senatu stosownie do sporządzonego uprzednio przez p. ministra wojny obliczenia. Podział ogólnej liczby odbywa się stosownie do ludności: na gubernie i okręgi — przez p. ministra wojny, a na okręgi popisowe — przez komisye poborowe gubernialne. W razie konieczności powołania szeregowców drugiej kategoryi, liczba ich oznaczona będzie w Najwyższym manifeście, a podział nastąpi jak wyżej.

12) W razie powołania pospolitego ruszenia wszyscy szeregowcy, którzy po dokonaniu podziału powołani są do służby czynnej w każdym okręgu, z wyjątkiem wymienionych w następujących niżej punktach, 13 i 14, winni stawić się do najbliższego w okręgu ich zamieszkania miasta gubernialnego lub powiatowego. Powołani do służby czynnej szeregowcy pospolitego ruszenia otrzymują termin trzydniowy do załatwienia spraw rodzinnych (od daty Najwyższego rozkazu), poczem winni się stawić w miejscu spisu bezzwłocznie. Osoby, zamieszkałe w miejscowościach odleglejszych, uzyskają zwłokę stosownie do odległości, licząc po 25 wiorst na dobę.

13) Zawarte w art. 12 przepisy nie stosują się do osób, które w wojskach stałych pozyskały rangę oficerską, do lekarzy, felczerów, do szeregowców pospolitego ruszenia z kwalifikacyami naukowemi pierwszych dwóch kategoryj i do tych osób z kwalifikacyami 3-ej kategoryi, które

---

Mimowoli chwyciłem znowu za papier i ołówek: mechanicznie jąłem pisać liczbę 1848 — na wszystkich rogach arkusza. Gdyby choć jedna myśl ciepłą falą mózg mój zrosiła i słowem spłynęła na usta! Dawniej zdarzało mi się — doprawdy zdarzało się nieraz, że jedna chwila rodziła pomysły do kilku długich rozdziałów: pisałem wtenczas bez wysiłku, a nadto wcale dobrze!

Siedzę na ławce i kreślę cyfrę 1848 niezliczoną ilość razy, kreślę ją tu i tam, w różnych formach; czekam przypływu myśli. Rój wolnych dumań brzęczy mi w głowie, barwa zachodzącego słońca czyni mnie smutnym i sentymentalnym. Jesień—wszystko już do snu układać się zaczyna. Muchy i owady, poczuwszy na sobie jej dłoń zabójczą, wszczynają zawziętą walkę ze śmiercią; na ziemi i w drzewach rozbrzmiewają dźwięki broniącego się życia: dźwięki prędkie, niespokojne, gorączkowe. Wszystkie te zdeptane istnienia robacze budzą się raz jeszcze ze snu, z pod mchu wychylają się żółte główki, widać, jak małe nóżki podnoszą się, posuwają naprzód, wlokąc za sobą długie włókna, jak wreszcie stworzonko omdlewa, upada, raz jeszcze przewraca się, układając się na grzbiecie, bezustannie do góry. Każda trawka odebrała już właściwe sobie piętno, niby lekki, mimochodem rzucony podmuch pierwszego zimna. Łodygi pobladłe tęsknie zwracają się ku słońcu, a liście spadają na ziemię, szumią jak sznur poruszających się jedwabników. To jesień pośród zapust znikomości: róże śmieją się jakąś niezdrową barwą, świecą połyskiem listków, jak krew czerwonych.

Przerażony obrazem zniszczenia, w którem konał wszechświat, struchlałem! Zdawało mi się, że sam jestem umierającym płazem... Wstałem i postąpiłem o parę kroków. „Nie — wołam, zaciskając pięście — musi się to raz skończyć!" I znowu siadam, biorę ołówek do ręki, postanawiam wziąć się na seryo do artykułu: rozpacz nie da pieniędzy na komorne...

Powoli, powoli myśl zaczyna się skupiać; korzystam z chwili i spokojnie, uważnie piszę parę stron wstępu: wstęp ten nadaje się doskonale do wszystkiego. Potem próbuję obrać sobie jakiś przedmiot: rzecz, człowieka, wszystko jedno!.. Ani rusz! Podczas tego bezowocnego wysiłku myśli moje znowu się plączą; czuję, jak mózg formalnie mi omdlewa, jak w głowie tworzy się próżnia coraz większa, jak wreszcie głowa lekka, pusta zwiesza się na ramię. Całem ciałem odczuwam tę przeraźliwą próżnię, zdaje mi się, żem wydrążony od stóp do głowy...

— Boże, ojcze mój! — wołam boleśnie raz po razie.

W liściach wiatr szumiał, zbierało się na burzę. Posiedziałem jeszcze chwilkę ze wzrokiem utkwionym w papiery, poczem złożyłem je i powoli wsunąłem do kieszeni. Było chłodno, a ja nie miałem kamizelki; zapiąłem surdut pod samą szyję, ręce ukryłem w kieszeniach. Wstałem i poszedłem.

Ten jeden raz żeby mi się udało — ten jeden raz tylko! Dwukrotnie spotkałem już pytające spojrzenie mojej gospodyni — przechodziłem koło niej z pokornie pochyloną głową i nieśmiałym ukłonem. Dłużej nie byłem w stanie tak się zachować: jedno jeszcze takie spojrzenie, a wymówię mieszkanie. Trzeba się przecież zastanowić, obliczyć — tak dalej trwać nie może.

Dochodząc do bramy parku, spostrzegłem znowu starego karła, którego furyą swoją do ucieczki zmusiłem. Owa mistyczna gazeta leżała przy nim na ławce—rozwinięta: zawierała najróżnorodniejszy prowiant; stary jadł. Chciałem przystąpić do niego, usprawiedliwić się, przeprosić za niestosowne zachowanie się, ale spojrzawszy na niego, uczułem wstręt: stare palce, niby dziesięć krzywych pazurów, wpiły się w tłusty chleb z masłem. Widok ten sprawił mi mdłości: przeszedłem, nie przemówiwszy ani słowa. Nie poznał mnie; wytrzeszczył na mnie oczy, jak drzewo martwo; twarz nie zmieniła wyrazu.

Szedłem dalej.

W celu przestudyowania ogłoszeń o wakujących posadach, z przyzwyczajenia stawałem przed każdą wywieszoną gazetą; na szczęście znalazłem anons stosowny: kupiec w Grönlandsleret poszukiwał młodego człowieka do prowadzenia ksiąg codziennie wieczorem, parę godzin; zapłata wedle umowy. Zanotowałem sobie adres i w sercu westchnąłem do Boga o poparcie mego życzenia; zażądam mniej od innych za pracę: wystarczy mi 50 ocrów, nawet 40 — zdam się zupełnie na mego chlebodawcę.

znajdują się w służbie państwowej. Wszystkie wzmiankowane powyżej osoby powoływane są do służby czynnej imiennie, poczynając od młodszych, w miarę rzeczywistej potrzeby. Ci z powołanych oficerów, którzy mianowani zostali dowódcami oddziałów pospolitego ruszenia, obowiązani są stawić się na miejscu w chwili formowania się oddziałów. Inni powołani oficerowie oraz lekarze i felczerzy obowiązani są przybyć na miejsce w terminach, wyznaczonych dla oficerów zapasowych. Szeregowcy, posiadający wyżej wymienione kwalifikacye naukowe, otrzymują do załatwienia spraw rodzinnych termin trzydniowy od dnia wezwania ich imiennego, poczem winni są stawić się na miejscach przeznaczenia najwyżej ze zwłoką jednej doby na 25 wiorst odległości ich miejsca zamieszkania.

14) Szeregowcy, którzy według art. 12 podlegają powołaniu do pospolitego ruszenia, jeżeli akt powołania zastanie ich w służbie najemnej w warsztatach artyleryjskich, technicznych, w zakładach rządowych, w warsztatach portowych ministeryum marynarki, zwolnieni są od stawienia się w miejscach spisu i zaliczeni będą czasowo do liczby stałych robotników tych zakładów oraz warsztatów, gdzie ich zastała mobilizacya. Natomiast zbyteczni robotnicy odsyłani będą do komisyj powiatowych.

15) Przenoszenie szeregowców pospolitego ruszenia z jednego okręgu popisowego do drugiego, wskutek zmiany miejsca stałego zamieszkania, dozwolone jest w każdym czasie, z zachowaniem dotyczących przepisów, o ile podanie zrobione zostało przed wydaniem rozkazu o mobilizacyi.

16) Od powołania do służby czynnej w pospolitem ruszeniu uwolnione są nadto osoby, pozostające w służbie państwowej, oraz służące na kolejach i zajmujące posady wymienione w art. 14 niniejszych przepisów. Osoby, znajdujące się w danej chwili pod sądem lub w śledztwie, zwolnione są od powołania do służby w pospolitem ruszeniu, z zachowaniem istniejących w tym przedmiocie przepisów.

SPRAWY EKONOMICZNE.

OSTATNIE SŁOWO MANCZESTERYZMU.

II.

W poprzednim artykule rozpatrywaliśmy teoretyczną krytykę przyszłej niewoli. Atoli praktyczny burżua angielski stosunkowo mało poświęcił temu miejsca, a więc zajął się różnemi urządzeniami, które teraz już dają mu się we znaki. Więc z kolei przesuwają się przed nami kwestye: mieszkaniowa, szkoły, poczt, prawodawstwa fabryczno-państwowego. Z pośród rozpraw w tym przedmiocie, o jednej, a mianowicie A. Rafałowicza, poświęconej sposobom rozstrzygnięcia sprawy mieszkań, tylko wspomnimy, że jest pomieszczona w zbiorowej książce. Wszystko, co tutaj powiedziano, czytelnik znajdzie w swojskiej pracy p. Suligowskiego. Natomiast winniśmy się zatrzymać nad pamfletem Fairfielda o Australii. Kraina ta, o której głucho w Europie, rozwija się nader pomyślnie. Brak emigracyi masowej pozwolił najmitom zorganizować się w potężne związki zawodowe, zwłaszcza w Wiktoryi. Dzień 8-godzinny jest tutaj niemal panujący. Ponieważ ludności wiejskiej prawie niema (np. w Wiktoryi jedno miasto Melbourne mieści w sobie 40% całego zaludnienia prowincyi), przeto organizacye najmickie zyskały olbrzymi wpływ polityczny, chociaż nie wystąpiły dotychczas jako samodzielne partye polityczne. Stronnictwa istniejące kokietują z potęgą, wprowadzają bezpłatne, bezwyznaniowe i obowiązkowe wykształcenie, urzeczywistniają prawo do pracy, stwarzając, w razie braku zajęcia, budowanie kolei i inne roboty publiczne. Zresztą kapitaliści i najmici wzajemnie czynią sobie ustępstwa: wraz z powstrzymywaniem emigracyi sił roboczych z Europy idzie obkładanie przywozu wysokiem cłem. Stosunki te, mało znane w Anglii, zostały zdradzone dopiero ostatnimi czasy przez Dilkego w świeżej książce o Australii. Rozumie się, ów ląd odludny stał się ideałem dla angielskiego demokratyzmu drobnomieszczańskiego i chętnie przytaczanym przykładem przez angielską demokracyę społeczną, jako żyjąca krytyka stosunków krajowych.. Manczesteryzm nie mógł tego pozostawić bez odpowiedzi. Fairfieldowi przypadło w zbiorowym manifeście zdemaskowanie stosunków zamorskich. Naprzód więc widzimy wysiłki udowodnienia, że raj australski jest niemożliwy w Europie, dzięki temu, iż niepodobna tutaj przerwać przypływu emigrantów, powstrzymanego w Australii drożyzną przewozu. Atoli nasz krytyk nie poprzestał na tem i poszedł jeszcze dalej. Usiłuje on dowieść, że swojem postępowaniem Australia zmierza szybko do bankructwa finansowego. Wysokość długów, zaciągniętych w Anglii, zwiększa się z roku na rok, a tymczasem wywóz produktów zmniejsza się. Długi wynoszą dzisiaj olbrzymią sumę 300 milionów fnt. ster. Władze australskie zaciągnęły spore pożyczki na drogi żelazne i inne przedsiębiorstwa, przy których znajdowała zatrudnienie głodna rezerwa pracy, na prowadzenie i utrzymanie bezpłatnego szkolnictwa itd. Sama gospodarka finansowo - państwowa ma się znajdować w skandalicznym stanie, a budżety są szczytem niościsłości i nieładu. Fairfield nie skąpi barw czarnych. Położenie rzeczy w Australii, jego zdaniem, winno przekonać każdego, że ostatecznym wynikiem dnia 8-godzinnego, prawodawstwa fabrycznego, wysokich zarobków, bezpłatnej a obowiązkowej szkoły są: oszustwo, demoralizacya i żebractwo. Jest to kraj bezczelny, który od podrzędnych finansistów Londynu wciąż pożycza, a pożyczone sumy marnotrawi w najgorszy sposób na różne szaleństwa społeczne, bynajmniej nie myśląc, skąd odda długi. Rzecz tylko dziwna, dlaczego na giełdzie ufają jeszcze władzom australskim, a przecie jest to najczulszy barometr zbliżającego się bankructwa... Zresztą szarlatanerya polityczna i matactwa finansowe, o których tyle mówi Fairfield, wydają nam się najzupełniej prawdopodobne, jakkolwiek sama praca jego jest i będzie pamfletem.

Zwróćmy się ku innym krytykom. Wielebny Alford zajął się bezpłatnem kształceniem, O'Brien zaś — czytelniami. Wogóle napaści na bezpłatną szkołę spotykamy w kilku miejscach rozpatrywanej książki. Fairfield staje w obronie katolików australskich przeciw nauczaniu państwowemu, Spencer nazywa ją wstępem do niewoli... Posłuchajmy głównych zarzutów Alforda. Szkoła bezpłatna, zwłaszcza jeśli jest przymusowa, rozluźnia rodzinę. „Dotychczas dziecko było wychowywane jako członek niewielkiej gminy, zwanej gospodarstwem domowem, uczyło się posłuszeństwa powadze, słuchając rodziców, oraz kooperacyi, żyjąc ze starszem i młodszem rodzeństwem. Kiedy wychodziło z domu rodzicielskiego, musiało torować sobie drogę

W domu zastałem na stole kartkę od gospodyni, która mnie wzywała, ażebym komorne za miesiąc z góry uiścił, w przeciwnym razie, o ile można najprędzej się wyprowadził. Prosiła, ażebym nie wziął jej tego za złe — przyczyny od niej niezależne zmuszają ją do takiego kroku.

Napisałem ofertę do kupca Christee, Grönlandelort, nr. 31 — włożyłem ją do koperty i zaniosłem do skrzynki, na rogu. Potem wróciłem na górę i spocząłem w kołysance. Zmrok coraz więcej zapadał. Ciężko mi było utrzymać się na nogach.

Nazajutrz zbudziłem się bardzo wcześnie. Było zupełnie ciemno, kiedy otworzyłem powieki; po długim, długim czasie usłyszałem, że na dole, pode mną, zegar bił piątą. Próbowałem zasnąć, nie mogłem; wybiłem się ze snu, leżałem, myśląc o rozmaitych rzeczach.

Nagle wpada mi na myśl kilka dobrych zdań: na szkic, albo na fejleton: są to subtelne błyski językowe, błyski, jakie nigdy jeszcze dotychczas w mózgu moim nie strzeliły. Leżę i powtarzam — znajduję, że słowa są doskonałe. Powoli, stopniowo coraz nowe rodzą się zdania; nagle w najlepszym humorze podnoszę się i z za łóżka wyjmuję papier i ołówek. Jakaś żyła, zda się we mnie pękła: słowo następuje po słowie, wiąże się logicznie z poprzedniem, układa się odpowiednio do sytuacyi; scena wypływa ze sceny; jest w tem akcya i rozmowa. Przedziwne zadowolenie ogarnia całą moją istotę. Piszę, jak opętany, bez przerwy zapełniam arkusz po arkuszu. Myśli tak nagle i obficie na mnie spływają, że nadążyć im ręką nie mogę; tracę wiele ślicznych szczegółów, pomimo że pracuję ze wszystkich sił; tak jestem przejęty przedmiotem, że słowa falą z pod pióra mi płyną.

Urocza ta chwila trwa dosyć długo; piętnaście, dwadzieścia zapisanych kartek spoczywa już na moich kolanach... Wreszcie kończę i odkładam ołówek. Jeżeli te papiery istotną posiadają wartość, jestem zbawiony! Zrywam się z łóżka i ubieram się. Dzień wschodzi coraz jaśniejszy, z łatwością czytam już ogłoszenie latarnika na dolnym krańcu drzwi; przy oknie tak jest widno, że od biedy pisać nawet przy niem można. Zabieram się natychmiast do skopiowania mego utworu.

Z fantazyj tych wznosi się dziwnie gęsty opar, ze świateł i barw utkany; podziwiam śliczne pomysły, powtarzam sobie, że to najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek czytałem. Upijam się zadowoleniem, radość czyni mnie pysznym, wmawiam w siebie, że stworzyłem coś wielkiego, ważę pismo w ręce, pobieżnie liczę kartki — oceniam je na pięć koron. Nikt chyba o pięć koron targować się nie będzie; przeciwnie, nawet dziesięć koron jest ceną bajecznie tanią, jeżeli uwzględni się wartość treści. Ani marzę oddać tak oryginalną pracę darmo; o ile wiem, rzeczy takie nie rodzą się na bruku. Decyduję się tedy na dziesięć koron.

W pokoju robi się coraz jaśniej; rzucam okiem na drzwi: rozróżniam już cienkie kościste litery, opiewające śmiertelną bieliznę panny Andersen, w bramie, na prawo. Bo też oddawna już siódma minęła.

Wstałem i stanąłem na środku pokoju. Dobrze rzecz przełożywszy, odmowa pani Gundersen bardzo mi była na rękę. To właściwie pokój nie dla mnie: bardzo ordynarne, zielone firanki u okien, brak gwoździ na zawieszenie ubrania, jakaś nieszczęśliwa kołysanka, właściwie ironia kołysanki, z której można się było uśmiać serdecznie. Była dla dorosłego za nizka, przytem tak ciasna, że aby się z niej wydostać, należało właściwie użyć pomocy „chłopca" do butów. Słowem, pokój dla zajęć duchowych nieodpowiednio umeblowany, z czego wynika, że dłużej mieszkać w nim nie mogę. Pod żadnym pozorem! Już i tak dosyć długo milczałem, cierpiałem i męczyłem się w tej ruderze.

Pełen nadziei i zadowolenia, przejęty myślą o szkicu, który co chwila odczytywałem, postanowiłem wziąć się do rzeczy na seryo, przeprowadzić się natychmiast. Wyciągnąłem tłomoczek: czerwoną chustkę, mieszczącą kilka czystych kołnierzyków i zgniecioną gazetę, w której poprzednio przyniosłem chleb do domu; zwinąłem kołdrę, resztkę czystego papieru do pisania schowałem do kieszeni. Dla pewności przeszukałem jeszcze wszystkie kąty: nie znalazłszy nic, przystąpiłem do okna i wyjrzałem. Ponury, wilgotny poranek; na pogorzelisku — po kuźni — ani żywej duszy; sznur od bielizny wskutek wilgoci zbiegł się i wyciągnął jak sprężyna. Wszystko to znałem oddawna! Odstąpiłem też od okna,

o własnych siłach, które rosły pod oddziaływaniem trudności i konieczności życia... Ale obecne czasy są niecierpliwe, niektórzy doradcy, zbyt gorący, dowodzą, że ludzie mogą zająć stanowiska w społeczeństwie olbrzymiem, bez terminowania w małem. Uchwały parlamentu chcą ochronić każdego obywatela i robotnika od ciężkich przejść w życiu, które kształciły charakter ich praojców; żąda się od państwa, aby zerwało więzy pomiędzy dzieckiem a rodzicami. Chcą uczynić z anglika, drogą skoku, dobrego obywatela, nie dbając o to, czy nauczył się być dobrym synem." Właśnie to bezwzględne powierzenie dziecka rodzicom, danie im wszelkiej samowoli nad niem: uczenia go lub nie, przedwczesnego posyłania do pracy, wszystko to oznacza u Alforda swobodę. Zwłaszcza wiele zarzutów ze strony naszych manczesterystów ściąga bezpłatność nauczania. Oburza ich to, że ofiarowanie przez państwo pokarmu umysłowego musi pociągnąć za sobą dalsze następstwa: karmienie fizyczne biednych malców i dziewcząt, a nawet dawanie im przyodziewku. Zresztą rozprawka przeciwko bezpłatnemu nauczaniu jest nader słabo napisana. Uzupełnia ją O'Brien swojemi napaściami na czytelnie bezpłatne. „Można je uważać za socyalistyczne uzupełnienie szkoły. Jeżeli ktoś otrzymuje oświatę z zarobków swego sąsiada, bezwątpienia za te same pieniądze może wymagać książek do czytania... Wprawdzie obrońcy bezpłatnego czytelnictwa odsuwają od siebie zarzut nieuczciwości. Jednak w gruncie rzeczy trudno spostrzedz jakąkolwiek istotną różnicę pomiędzy człowiekiem, który bezwstydnie wchodzi do cudzego domu i zabiera sąsiadowi książkę, a innym, który łączy się z większością i opierając się na kartce wyborczej, uchwala zbierać środki pieniężne na czytelnię... Mówią, że dobre książki nie dostałyby się inaczej do rąk robotnika. Gdyby nawet tak było, nie jest to dostateczną przyczyną opodatkowania w tym celu sąsiadów. Jeśli robotnik nie zdoła dojść do książek drogą uczciwą, lepiej aby nie miał żadnych, póki nie uzbiera sam środków... Czytelnie bezpłatne są wzorowym przykładem kooperacyi przymusowej, która obecnie wszędzie zyskuje grunt pod nogami w naszym kraju. Podobnie jak wszelki inny objaw socyalizmu państwowego, są one zaprzeczeniem tej wolności, która stanowi cel rozwoju ludzkiego. Wszelki skuteczny opór przeciwko temu jest czynem postępowym. To żebrackie odwoływanie się do liczebnej większości, żeby zmusić mniejszość do utrzymywania instytucyi demoralizującej i zniepraważającej, jest próbą wskrzeszenia, po postacią prawodawstwa municypalnego, tego samego przymusu, z którego już wyrośliśmy w zakresie spraw religijnych." Przytoczyliśmy pojedyncze ustępy, których rozprawa jest tylko rozwinięciem. Zresztą O'Brien usiłuje jeszcze dowieść, że książki, przeważnie brane, są to romanse i powieści i twierdzi, że czytelnie bezpłatne są jedynie bezpłatnemi miejscami przyjemności. Ciekawą też jest jego statystyka, kto użytkuje z czytelni. W Bristolu 416.418 osób brało książki, w tej liczbie 149,000 podało się, że są „bez zajęcia." W Leamingtonie na 282 pożyczających 187 jest „bez zajęcia." Nie wiemy, co oznacza u autora ów termin „bez zajęcia," służący mu za przedmiot żartów i szyderstw, że czytelnie dla klasy pracującej przeznaczone, są głównie uczęszczane przez osoby „bez zajęcia." Jeżeli „bez zajęcia" ma znaczyć brak miejsca, statystyka powyższa świadczyłaby, że robotnik może użytkować z czytelni tylko wtedy, kiedy jest na bruku. Swoją drogą warstwy pracujące fizycznie względnie mało użytkują z czytelni bezpłatnych, czego można było z góry się spodziewać. W jednem np. mieście duchowieństwo stanowi 9%, subjekci i buchhalterzy handlowi 11%, urzędnicy niece mniej, niż 10%, nauczyciele 6% itd. zastępu czytających. Nasz obrońca „swobody" z tego powodu robi gorzką uwagę, iż tym sposobem obdziera się uczciwych obywateli, aby ludziom niemoralnym lub zamożnym zrobić przyjemność bezpłatnego czytania romansów. Wielebny Alford z powodu bezpłatnych, lecz nieprzymusowych szkół zaznacza podobne zjawisko, mianowicie, iż rodzice zamożni użytkują z takich zakładów w większym procencie, aniżeli niemajętni. Podnosimy te fakty z całym naciskiem i przypominamy, że mówiąc o prądzie uniwersyteckim w Anglii, zaznaczyliśmy taki sam stan rzeczy. Urządzenia, z pozoru demokratyczne, które winny ogarnąć całe społeczeństwo, zamieniają się na instytucye, służące ku pożytkowi grup zamożniejszych. Innemi słowy, w społeczeństwie klasowem nawet środki ogólnego dobra stają się narzędziami wyzysku. Z tą prawdą niepodobna walczyć. „Wszechstronne i niedoktrynerskie" duszyczki mogą w tego rodzaju zjawiskach znaleźć wytłomaczenie, dlaczego pewne umysły, „czerstwe a jednostronne," wciąż mówią o klasowym podkładzie i po za sprawą ekonomiczną, mało na co zwracają głębszą uwagę. Naturalnie życzymy największego powodzenia i upowszechnienia się bezpłatnym czytelniom, lecz nie łudźmy się co do ich rezultatów!

O rozprawie Tomasza Mackaya o przedsiębiorstwach publicznych i prywatnych nie będziemy się rozszerzali. Zaznaczymy tylko jedno. Autor, który niema dostatecznych słów potępienia dla przedsiębiorstw, prowadzonych przez państwo lub miasto, staje w obronie faktycznego monopolu techniczno-finansowego, takiego, jak trusty amerykańskie. Swoją drogą krytyce jego przyznajemy najzupełniejszą słuszność. Podobnie musimy zgodzić się z krytyką (lecz nie zasadniczymi poglądami!) Beauchampa Gordona w rozprawie „Państwo i elektryczność," według którego jedynym skutkiem wtrącenia się państwa jest to, że zastosowania praktyczne elektryczności w Anglii doznają opóźnienia. Millar poddaje znowu drobiazgowemu rozbiorowi urządzenia pocztowe swojego kraju. Przytoczone przez niego fakty są nader ciekawe, a zdaje się, że możemy im zupełnie zaufać, mimo że autor naciąga je do swoich apriorystycznych założeń. Usiłuje on dowieść, że gdyby rzecz znajdowała się w ręku prywatnem, taniość korespondencyi wraz z różnemi dogodnościami byłaby większa. Naturalnie przekonać o tem trudno, poprzestaje też na wykazaniu kosztów urządzenia państwowego. Niejaki Rowland Hill obliczył, że koszt przesyłki listu pomiędzy najodleglejszemi prowincyami W. Brytanii nie przewyższa $^1/_{36}$, że inne wydatki na stemplowanie, wyprawianie itd. z Londynu do Glasgowa nie wynoszą [illegible] pensa. W ten sposób gdyby za list brano $^1/_4$ pensa, już otrzymywanoby olbrzymi zarobek, tymczasem dopiero w ostatnich czasach wprowadzono, zamiast dwupensowych, jednopensowe marki. Wysyłanie listów do dalszych krajów jest w Anglii jeszcze bardziej obciążone, więcej

---

wziąłem tłomok pod ramię, skłoniłem się przed anonsem latarnika i bielizną śmiertelną panny Andersen i — otworzyłem drzwi.

Nagle przypomniała mi się moja gospodyni: powinienem ją był przecież zawiadomić o tem, że się wyprowadzam, powinienem ją był przekonać, że ma do czynienia z porządnym człowiekiem. Chciałem jej też piśmiennie podziękować za uprzejme pozostawienie mi pokoju na kilka dni ponad termin. Pewność zmiany ku lepszemu tak silnie mnie opanowała, że obiecałem jej nawet w kartce pięć koron, które, przechodząc, za parę dni jej wręczę: postanowiłem przekonać ją, jak hojnego człowieka chroniła pod swoim dachem.

Kartkę pozostawiłem na stole.

U drzwi jeszcze raz stanąłem. Promienna świadomość tego, że znowu wypływam na powierzchnię, zachwycała mnie, napełniała wdzięcznością dla Boga i wszechświata; klęknąłem, dziękując Bogu głośno za jego wielką dobroć, za łaskę, którą zesłał na mnie rano. Wiedziałem, dobrze wiedziałem, że ten szał natchnienia, którego przed chwilą doświadczyłem, jest cudownem miłosierdziem Boga, łaską duchowi mojemu uczynioną, odpowiedzią na skargę wczorajszą. To Bóg, Bóg! — wołałem, płacząc w ekstazie nad własnemi słowami; od czasu do czasu przerywałem sobie, słuchając, czy nie ma kogo na schodach. Wreszcie podniosłem się i poszedłem; bez szmeru zsunąłem się ze schodów, niewidziany wybiegłem za bramę.

Ulice błyszczały po deszczu porannym; niebo ciężko i nisko zwisło ponad ziemią, nigdzie ani odrobiny słońca. Która też mogła być godzina? Jak zwykle skierowałem się ku ratuszowi i zobaczyłem, że jest wpół do dziewiątej. Miałem więc jeszcze parę wolnych godzin przed sobą; nie było sensu do redakcyi pójść przed dziesiątą, jedenastą; do tej pory trzeba się włóczyć i starać się tymczasem o jakieś śniadanie. Zresztą byłem spokojny co do tego, że głodny spać się nie położę. *Te* czasy, dzięki Bogu, już minęły; liczą się już dzisiaj do historyi, rozwiały się, jak sen niedobry! Dzisiaj znowu płyniemy górą!

Naraz ciężko mi było nieść żelazną kołdrę; zresztą nie mogłem się pokazać z nią wśród ludzi. Cóżby o mnie pomyśleli? Zastanawiałem się nad tem, gdzieby ją tymczasowo zostawić? Mógłbym udać się do Semba i kazać upakować ją w papier. Zaraz to będzie jakoś inaczej wyglądało, a w opakowaniu i nieść nie szkodzi. Wstąpiłem do sklepu, wyjawiając jednemu z subjektów moje żądanie.

Najpierw spojrzał na kołdrę, potem na mnie; wydawało mi się, że w duchu lekceważąco wzrusza ramionami. To mnie ubodło.

— Do stukroć! uważnie! — zawołałem. W środku leżą dwa drogie wazony: pakiet ma iść do Smyrny!

To poskutkowało — zwyczajnie argument wielkopański. Subjekt zdawał się teraz przepraszać mnie każdym swoim ruchem za to, że nie odrazu domyślił się cennej zawartości tej kołdry. Kiedy skończył, podziękowałem mu z miną człowieka, który już nieraz cenne przedmioty do Smyrny wysyłał; otworzył mi drzwi i skłonił się dwa razy.

Wałęsałem się między ludźmi po Stortorwie; starałem się pozostać w pobliżu bab, sprzedających kwiaty w doniczkach. Róże pełno, czerwone, o liściach, które krwawo i dziko wśród wilgoci poranku błyszczały, budziły we mnie żądzę posiadania, grzeszną pokusę przywłaszczenia sobie jednej z nich; spytałem o cenę poto tylko, aby przybliżyć się do kwiatów jaknajwięcej. Kupię je sobie, jeżeli tylko zostanie mi trochę pieniędzy i kupię stanowczo — niech się co chce dzieje; mogę przecież tu i owdzie zaoszczędzić coś z codziennych wydatków i tym sposobem przyprowadzić budżet do równowagi.

O dziesiątej udałem się do redakcyi. „Dygnitarz od nożyc" przerzuca stos starych gazet; redaktora jeszcze niema. Na żądanie zostawiam rękopis, a nieznacznie wtrącam uwagę, że to przedmiot niezwykłej doniosłości; nalegam, ażeby rękopis został wręczony redaktorowi bezzwłocznie po jego nadejściu. W ciągu dnia wstąpię po odpowiedź.

— Dobrze! — brzmi odpowiedź. „Dygnitarz" wraca do swego zajęcia. Zdawało mi się, że przyjął całą rzecz zbyt obojętnie; nic jednakże nie odpowiedziałem, kiwnąłem głową i poszedłem.

I znowu miałem czas wolny. Gdyby się też chciało wypogodzić. Czas był straszny:

niż w jakimkolwiek innym kraju. Niektóre firmy wysyłają swoje listy, przeznaczone do Chin i Indyj, przez Francyę i zaopatrują do dalszej drogi w marki francuskie. Jedna firma londyńska zaoszczędza na tem rocznie 1,300 fnt. sterl. Telegraf pierwotnie był w Anglii przedsiębiorstwem prywatnem, dawał wtedy 14—18% czystego dochodu. Upaństwowienie go i roczny deficyt wynosi około pół miliona fnt. sterl.

W ogóle krytyka niezaradności, wstecznictwa technicznego i drożyzny przy wszelkich monopolach państwowych jest najsilniejszą stroną rozpatrywanego manifestu. Do tej krytyki niepodobna nic dodać. Nieulega też najmniejszej wątpliwości, że gdyby dzisiejsze upaństwowione drogi żelazne itd. miały być wzorem, według którego kiedykolwiek zorganizowanoby przyszłość, nastałaby istotna niewola. Rzecz bezwarunkowo pewna, że jednostka wystąpiłaby wtedy masowo z protestem, gdyby uprzednio nie zmarniała antropologicznie w takiem społeczeństwie. Wszelkie zrzeszenie pracy, aby odpowiedzieć wymaganiom swobody osobniczej, musi opierać się na dobrowolnem uspołecznieniu woli ludzkiej, na współdziałaniu popędów swobody osobniczej. Zresztą winniśmy znowu wyrazić zdziwienie, że autorzy uderzyli jedynie na przedsiębiorstwa państwowe, lecz nic nie rzekli o projektach unarodowienia. Widocznie pomieszali jedno z drugiem. A tymczasem angielska demokracya społeczna domaga się właśnie tego ostatniego. Bynajmniej nie żąda, aby np. tramwaje lub telefony w mieście przeszły pod zarząd municypalny i stały się źródłem fisku miejskiego, lecz aby wykupiono je i oddano odpowiedniemu trades-unionowi, jako stowarzyszeniu współdzielczemu, rada zaś municypalna zatrzymała by kontrolę nad taksą płaconą przez publiczność za usługi — dla powstrzymania wyzysku. W dalszym ciągu, autorzy, zamiast zapuszczać się w nazbyt łatwą, lecz jednocześnie bezużyteczną zabawkę krytykowania biurokratycznego monopolu przemysłowego, z większą słusznością winni byli zająć się krytyką spożywczego stowarzyszenia angielskiego. Liczy ono przeszło 700 tysięcy członków, usunęło ze swego łona współzawodnictwo i pośrednictwo handlowe, samo wytwarza na swoje potrzeby wiele produktów. Wprawdzie pozostawiło własność prywatną akcyj, lecz mimo to jest ono na drobną skalę kryształem gospodarstwa kolektywnego w obecnym ustroju. Kooperatyści wierzą, że cała Anglia stanie się jednem takiem stowarzyszeniem spożywczem, produkującem wszystko dla siebie. Wprawdzie w ideale tym pozostawiono własność prywatną, lecz bezczynną, bo w postaci akcyj.

Zbiorowa praca manczesterystów angielskich zajmuje się wszystkiem i krytykuje wszystko, prócz tego, co przedewszystkiem winna rozpatrzeć — demokratyzm społeczny z jego dzisiejszemi wymaganiami tych reform, dla których chwila nadeszła.

K. R. Żywicki.

BADANIA NAUKOWE.

HISTORYA LITERATURY AMERYKAŃSKIEJ.

Kilkakrotnie już próbowali autorowie niemieccy zestawić dzieje piśmiennictwa północno-amerykańskiego. Edward Engel naszkicował krótki ich rys w dodatku do historyi literatury angielskiej; Adolf Stern poświęcił im odpowiednie miejsce w siedmiotomowej swej historyi literatury nowszej, E. O. Hopp w szeregu artykułów i rozprawek zajmował się ważniejszemi tworami tego piśmiennictwa, Rudolf Doehn wreszcie wystąpił z pierwszem opracowaniem systematycznem. Niedostatki tego opracowania spowodowały pojawienie się nowej, dwutomowej historyi literatury północno-amerykańskiej Karola Knortza *). Autor znany jest oddawna jako tłumacz i krytyk dzieł amerykańskich. Praca jego, acz nie stoi na wyżynie nowoczesnej krytyki literacko-estetycznej, ma jednak wiele zalet i jako podręcznik każdemu dobre odda usługi. Knortz zdaje się być bardziej dziennikarzem, niżli uczonym; toteż stronę biograficzną i anegdotyczną ze szczególnem przedstawił zamiłowaniem. Krytyczne jego uwagi nie zawsze zasługują na wiarę, lecz szczęściem autor ułatwia czytelnikowi utworzenie sobie sądu samoistnego, podając dokładną treść ważniejszych utworów i porównywając je z pokrewnymi innych piśmiennictw. Wogóle książka ta jest nader informującą, zawiera przeszło 500 nazwisk, daje wystarczający przegląd najnowszego rozwoju piśmiennictwa amerykańskiego i obfite wskazówki bibliograficzne.

*) *Gesch. der nordamerikanischen Litteratur.* Berlin, Lüstenöder, 1891.

Wiadomo, że pierwotnie wszystko, co drukowano na gruncie amerykańskim, treścią i formą należało do literatury angielskiej. Dopiero ze „Szkicami“ Irvinga rozpoczyna się oryginalne piśmiennictwo amerykańskie (1820). Knortz jednak sięga do czasów dawniejszych i dzieli historyę tego piśmiennictwa na trzy okresy: kolonizacyi, rewolucyi i niezależności.

W czasie kolonizacyi (1620—1760) nosi ono piętno ducha purytańskiego. Pełno w niem rozpraw teologicznych, natchnień biblijnych i naśladowań autorów starożytnych. Odznaczyły się wtedy dwie poetki: Anna Bradstreet i murzynka Phyllis Wheatly.

Okres rewolucyjny (1760—1800) wydał literaturę przeważnie polityczną. Pisarze głoszą ideję niezależności, przygotowują naród do samorządu. Przeważnie używaną formą była satyra, pieśń liryczno-polityczna i przemowa. Głęboki wpływ wywarła książka ludowa Franklina „Biedny Ryszard“; John Trumbull zaś jest autorem najlepszej ówczesnej epopei humorystycznej „Mc Fingal.“

Od r. 1800 — 1830 pracują amerykanie z wytężeniem wszystkich sił około podniesienia dobrobytu materyalnego; dla literatury czas to jałowy. Cooper i Irving otwierają okres żywszej twórczości z charakterem czysto amerykańskim. James Fenimore Cooper przypadkiem niejako został powieściopisarzem. Do 48 roku był gospodarzem, i to nie zbyt zręcznym. Przeczytawszy pewną powieść, oświadczył, że tę samą rzecz lepiej by obrobił. Mówić łatwo — odparła żona — dowiedź! Cooper wziął się do pracy i wystąpił naprzód ze słabą powieścią angielską; lecz już druga („Szpieg“) zdobyła mu rozgłos światowy. Znane są utwory pisarza tego, pełne zawikłań awanturniczych, idealizowania czerwonoskórych, i barwnych opisów.

---

ani wiatru, ani chłodu! Dla pewności panie pootwierały parasole i wełniane czapki panów wyglądały bardzo smutno. Jeszcze raz przeszedłem się po targu, przyglądając się różom. Nagle na ramieniu czuję czyjąś rękę i oglądam się... To „panienka“ mówi mi dzień dobry.

— Dzień dobry — odpowiadam, trochę pytająco, chcąc natychmiast dowiedzieć się czego sobie ten frant życzy. Widok jego nie bardzo mnie zachwyca.

Tymczasem on ciekawie spogląda na wielki, nowiusieńki pakiet, który trzymam pod ręką, wreszcie pyta:

— Cóż to pan niesie takiego?

— Byłem u Semba; kupiłem sobie materyału na ubranie — odpowiadam tonem zblazowanego młodzianu, nie chcę mi się już dłużej chodzić w tak wytartym stroju; oszczędność dla własnej osoby też ma pewne granice!

Patrzy na mnie zdziwiony.

— Jakże się panu wiedzie?—pyta powoli.

— Jaknajlepiej!

— Więc pan znalazłeś zajęcie?

— Zajęcie? — pytam. Jestem przecież prowadzącym księgi firmy Christie!

— Tak!! — Cofa się o krok. — Boże mój, jak mnie to cieszy! Żeby tylko znowu nie wyżebrano od pana pieniędzy, które zarabia! Do widzenia!

Po chwili wraca, laską wskazuje na mój pakiet i mówi:

— Mogę panu polecić mego krawca. Nie znajdzie pan lepszego od Isaksensa! Powiedz mu, że ja pana posłałem.

Tego było mi już za wiele. Cóż on miał za prawo wtrącać się do moich spraw? Co go obchodził mój krawiec? Widok tego pustego franta wściekał, rozżalał mnie; przypomniałem mu dosyć brutalnie, że jest mi jeszcze winien dziesięć koron; zawstydziłem się, nie śmiałem mu spojrzeć w oczy; w tej chwili przechodziła jakaś pani; cofnąłem się, aby ją przepuścić; korzystając ze sposobności — umknąłem.

Dokądże teraz? Do kawiarni z próżną kieszenią wejść nie mogłem, ani też o tej porze udać się do nikogo. Instynktownie zawlokłem się w górną część miasta, spędziłem dość dużo czasu na drodze z Targu do „Granicy,“ przeczytałem *Pocztę wieczorną*, którą właśnie wywieszono, zeszedłem ulicą Karola-Jana na dół, poczem wróciłem prosto na Cmentarz Zbawiciela. Na pagórku, koło kaplicy znalazłem sobie ciche ustronie.

Tu siadłem spokojnie, marząc na wilgotnem powietrzu; drzemałem i marzyłem. A czas mijał! Gdzież pewność, że fejleton mój jest małem arcydziełem natchnienia? Bóg raczy wiedzieć, czy tu i owdzie niema jakiego błędu? Jeżeli tak, to w końcu mogą nie przyjąć, poprostu *nie przyjąć*! Może to rzecz tuzinkowa, może nic nie warta! Któż zaręczy, że rękopis już teraz, nie spoczywa w koszu? Spokój mój znikł w mgnieniu oka, wskoczyłem i wiatrem zbiegłem z cmentarza.

Na dole, w Akersgaden, poprzez szybę sklepową dojrzałem, że jest parę minut po dwunastej. To wprawiło mnie w rozpacz jeszcze większą; napewno liczyłem, że południe dawno już minęło; przed czwartą nie było po co chodzić do redakcyi. Los mego fejletonu napełniał mnie smutnemi przeczuciami; im więcej nad tem myślałem, tem bardziej wątpiłem, ażobym nagle, prawie we śnie, w stanie gorączkowym, halucynacyjnym miał był stworzyć coś możliwego. Naturalnie łudziłem się, przez całe rano weseliłem się bez przyczyny. Naturalnie! Przez Ulleroldvejen, koło Haushagen wyszedłem na otwarte pole, potem na szosę, której końca dojrzeć już nie było można.

Tutaj zatrzymałem się; postanowiłem wrócić. Byłem zgrzany, przygnębiony, wracałem wolno. Spotkałem dwa wozy z sianem; woźnice na wznak leżeli i śpiewali; obaj mieli głowy odkryte, twarze okrągłe, bez śladu troski. Spodziewałem się, przemówią do mnie, rzucą jakieś spostrzeżenie, żart jakiś... Kiedy się zbliżyłem, jeden znich zwrócił się do mnie i zapytał, co dźwigam pod ramieniem.

— Kołdrę — odpowiedziałem.

— Która godzina?

— Nie wiem napewno, zdaje mi się, że będzie trzecia!

Roześmieli się i pojechali dalej.

(D. c. n.).

Washington Irving dotąd zalicza się do najpopularniejszych autorów amerykańskich, dzięki lekkiemu humorowi i niezwykłej sile charakterystyki. William Cullen Bryant jest pierwszym poetą z rozleglejszym widnokręgiem. Po nim podobnemi drogami kroczą: Emerson i Thoreau. Knortz nie rozumie Emersona, którego mistyczny kierunek go odtrąca; a dla każdego nieuprzedzonego Emerson należy do najbardziej świetlanych postaci w szeregu myślicieli i poetów XIX wieku. Również Thoreau, filantrop, dla Knortza nie jest przystępny.

Umiejętnie dziennikarz amerykański pisze o historycznej powieści amerykańskiej i o głównym jej przedstawicielu Natanielu Hawthorne. Poecmu zarzuca zbyt obliczone efekty, brak uczuć, moralności i rozległości horyzontu; podnosi natomiast mistrzostwo jego stylu. Również Longfellowa, według Knortza przecenia publiczność amerykańska, olśniona pięknym jego językiem; wykazuje on, że Longfellow zrabował epopeje ludowe i czerpał z innych poetów.

Zbliżamy się do końca tomu pierwszego. Mówi w nim Knortz jeszcze o historykach amerykańskich (Prescocie i Ticknorze) o filozofiach i o wolnomyślnym teologu I. Fr. Clarke. W drugim tomie poświęca wstęp obszerniejszy Waltowi Whitmanowi, marzycielowi demokratycznemu, który poezyami przełamującemi formy dotychczasowe, przekształcić pragnął literaturę i zreformować społeczeństwo. Whitman wierzył, że poeta, służąc prawdzie dzięki porywającej potędze może zbawić społeczeństwo. Zbyt krótko zajmuje się Knortz Bret Hartem, którego utwory rozbiera wraz z pracami Millera, Cable'go i O'Reilly'a. Za to dowiadujemy się ciekawych szczegółów o Bunicie, który będąc pierwotnie kowalem, wyuczył się 33 języków, został wybitnym pisarzem i występował przeciw niewolnictwu oraz wojnie. Nie pomija też Knortz wielkiego nakładcy amerykańskiego, Fieldsa, ani I. R. Lowella, wydawcy „Atlantic Monthly," w którym pierwszorzędni autorowie amerykańscy umieszczali prace swe.

O poezyi dyjalektowej pisze w osobnym rozdziale, jak również o dziennikarstwie i literaturze ekonomicznej, dziejopisarstwie, o studyach filologicznych i literackich. W trzech rozdziałach zajmuje się „poetami i poetkami współczesnemi," nie kusząc się jednak wcale o systematyczne ugrupowanie ich, wskutek czego czytelnik nie obeznany bliżej z współczesną amerykańską produkcyą literacką nie wyrobi sobie o niej jasnego wyobrażenia.

N.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

Literatura i hypnoza społeczna. — Psychika starożytna, średniowieczna i współczesna. — Potrzeba nowej sztuki. — Parnasowcy. — Brak literatury „nowożytnej."

Nowoczesne teorye psychologiczne (Tarde'a, Fauillée'go i in.) rzuciły nowe zupełnie światło na wszystkie zjawiska charakteru społecznego, a między innemi i na literaturę. W świetle tych teoryj człowiek występuje jako istota, znajdująca się zawsze w stanie hypnotycznym i wykonywająca drogą suggestyi społecznej wszystkie czynności, poczynając od najprostszych, a kończąc na najbardziej złożonych. Nie mówimy już o takich zjawiskach, jak moda, która nosi wszystkie cechy nieprzezwyciężonej zarazy moralnej — jesteśmy przekonani, że gdyby jutro sto kobiet zaczęło przypinać tiurniury z przodu, to po miesiącu widzielibyśmy wszystkie tak przystrojone; ale weźmy rozmaite ruchy religijne, polityczne, naukowe i artystyczne: przechodzą one z głowy do głowy z fatalistyczną prawie koniecznością, nastrajają umysły i kierują postępowaniem. To odbywa się na każdym kroku życia ludzkiego w formach tak powszednich i nieznacznych, że ich prawie nie spostrzegamy. Jeden członek licznego towarzystwa systematycznym śmiechem może doprowadzić do wesołości pozostałych. Po skończonym koncercie wszyscy czekają, dopóki ktoś zacznie klaskać, aby ślepo pójść w jego ślady — szczególnie zauważyć to można przy oklaskach powtórnych. Czem jest wychowanie, jeżeli nie systematyczną suggestyą pewnych wrażeń, zwyczajów i wiadomości, które następnie kierować będą człowiekiem przez całe życie? Czem są formy moralne (nie instynkty!), jeżeli nie pewną sumą zasad, opartych na potrzebach ludzkiego współżycia, wszczepianych człowiekowi tąż samą drogą suggestyi, przykładu i naśladownictwa, tak iż on postępuje pod ich kierownictwem zupełnie, jak istota zahypnotyzowana, kierująca się wolą i wskazówką hypnotyzera? Czem innem są wszelkie obyczaje, zwyczaje i konwencyonalizmy, którym ślepo się poddajemy? Opierać się hypnozie społecznej mogą tylko rzadkie, wyjątkowe jednostki, masy poddają się jej zwykle bez krytyki i protestu, tak samo, jak każde medyum poddaje się woli hypnotyzera. W jaki inny nareszcie sposób można byłoby sobie wytłomaczyć istnienie wszystkich form społecznych rodziny, własności, które ustanowione zostały bez naszej woli, o wiele wieków przed naszem urodzeniem i w które musimy wchodzić wszyscy, bez względu na różnicę temperamentów, popędów i w ogóle indywidualizmów? Hypnoza społeczna nastraja wszystkie dusze na jeden ton, gnębi indywidualizmy i przysposabia je do zgodnej gry. Jeśli się przyjrzeć bliżej życiu przeciętnego człowieka, to zobaczymy, iż nie wykonywa on ani jednego własnego ruchu, przez mózg nie przejdzie mu nigdy myśl oryginalna. Człowiek jest akumulatorem podanych mu przez opinię publiczną lub książki wiadomości i wciąż postępuje według pewnej z góry narzuconej modły. Stosuje się to do wszystkich przejawów życia społecznego, między innemi do literatury. Wypowiadając swój zachwyt z powodu książki, entuzyazmując się wobec obrazu, publiczność wykonywa tylko hypnotyczne odruchy, albo też czyny naśladownicze—jak powiada Tarde. A jeżeli przysłuchać się uważnie jej szczebiotaniu, to nietylko myśli noszą stempel przekazanych przez tradycyę lub powagę opinij, ale nawet wyrażenia i frazesy zaczerpnięte zostały z jakiegoś gotowego źródła. Sama nawet literatura i krytytyka funkcyonują wciąż tylko pod wpływem tego hypnotyzmu. Czynnikami są tu t. zw. wielcy ludzie, geniusze, których mózgi są źródłami nowych prądów hypnotycznych, a zarazem rozwój stosunków społecznych, dostarczający materyału dla twórczości myślicieli i artystów.

Ta powszechnie znana ociężałość mas, nazwana także przez Lombrosa *minoseizmem*, przejawia się na każdym kroku, ona to szczuje i tłumi każdy przejaw myśli niezależnej, chociażby najskromniejszy. Spróbójcie powiedzieć np., iż kościół p. Maryi w Paryżu wywiera na was wrażenie pasztetu na wystawie rzeźnickiej, a wywołacie niechybnie u medyów, znajdujących się wciąż pod wpływem hypnozy społecznej i powtarzających wobec każdego utworu sztuki sakramentalne wykrzykniki: „o, ta plastyka," „o, ta ekspresya," „o, ta..." itd.— sąd, iż jesteście barbarzyńcami z zupełnie pokaleczonym gustem. A jednak można śmiało przy powyższem zdaniu obstawać: artysta, który budował Notre Dame de Paris był człowiekiem wierzącym; tłumy, które w średnich wiekach zachwycały się widokiem świątyni, były przepełnione gorącą wiarą. Ale gdzie jest ta siła, któraby zdołała wzbudzić we współczesnym człowieku choć echo słabe tych przebrzmiałych zapałów? Możemy co najwyżej podziwiać technikę — nic więcej! Jeżeli więc krytyk przysięgły zachwyca się tym widokiem, to albo świadomie kłamie, albo też znajduje się pod wpływem społecznej hypnozy, każącej tradycyjnie zachwycać się pewnemi rzeczami. Każda epoka ma swoją specyalną psychikę, nastrój duchowy — wytwarzany przez dwa powyższe czynniki: rozwój stosunków i genialne mózgi — w dziedzinie etyki, umysłowości, sztuki. Tylko wszechstronna synteza wszystkich nowych elementów z trzech tych dziedzin może wywołać wszechstronne wrażenie estetyczne, entuzyazm, zapomnienie się. Zapał natychmiastowo znika, jeżeli krytyczna myśl wynajduje rozdźwięki. Pozostaje w najlepszym wypadku jednostronna ocena oddzielnych zalet. Najwspanialszy obraz w zachwyt nas nie wprawi, jeżeli treść jego jest religijna, będziemy chłodno oceniać technikę.

Każda więc epoka ma swoją specyalną psychikę i powinna też mieć swoją specyalną sztukę. Ileż to np. starć zawiera w sobie dusza współczesnego człowieka, wyrastająca z form społecznych, przekazanych przez starożytność i wieki średnie! Ileż to rozdwojenia i upadku zawiera się na każdym kroku w istnieniu współczesnej rodziny! Toż samo inne formy społeczne: pękają, rozkładają się. Odtworzyć te procesy, wskazać przyszły ich rozwój, stojąc na wysokości współczesnej etyki i nauki — oto zadania godne nowej sztuki, nowej poezyi. Tylko wówczas będą one mogły wywołać w nas istotny entuzyazm, wszechstronną syntezę. Wielcy mistrze, twórcy nowych kształtów artystycznych, uszlachetniając i uduchowniając życie, są niewątpliwie tyleż pożyteczni dla ludzkości, co wielcy wodzowie, prawodawcy lub myśliciele. Ale można to powiedzieć tylko o istotnie wielkich poetach, nie zaś o nieszczęsnych pachołkach, którym ironia losu zamiast dratwy i szydła, pióro wsunęła do ręki. Ci ostatni są zazwyczaj twórcami teoryi, iż poezya polega tylko na piękności formy, iż umysłowa i moralna jej treść nie ma literalnie żadnego znaczenia. A ponieważ przy braku nowej treści trudno i o nową formę, więc epigonowie ci kontentują się zazwyczaj naśladownictwem starych mistrzów. Jak może cała masa poetów żyć życiem nie swojem, lecz odblaskiem cudzego, przebrzmiałego, nie wnosząc ze swej strony żadnej nowej nuty, najlepiej widzieć to można na parnasowcach francuskich. Mamy u nich tylko odgrzebywanie starych form i idei, naśladownictwo artystów starożytnych. Przyjęte jest w świecie cywilizowanym zachwycanie się poezyą klasyczną. Piszący te słowa jest gorącym jej wielbicielem. Ale, o ile my w tym wypadku nie jesteśmy ofiarami hypnozy społecznej, o ile nasze zachwyty nie są sakramentalne i powtarzane *in verba magistri* — trudno orzec. To tylko nie ulega wątpliwości, iż napewno nie spoglądamy na poezyę grecką temi oczami, jakiemi na nią sami grecy spoglądali. Febus-Apollo, zacinający na złocistym rydwanie ogniste rumaki, jest dla nas tylko górnolotną metaforą—dla greków z czasów Homera był realnem, faktycznem pojęciem gdyż znajdowali się oni jeszcze wówczas w okresie fetyszyzmu. Grecy patrzyli na słońce zupełnie innemi oczami, niż my obecnie. Psychika ich dla nas w zupełności się ulotniła. Podobnież inne pojęcia. Pamiętajmy, iż grzech dziedziczny jest głównym motywem dzieł Eschilosa. Cały tragizm położenia Orestesa znajdował się w sercach ateńskich słuchaczów. Dla nas jest on prawie niezrozumiały... Tak samo ulotniła się dla nas psychika większości utworów malarstwa i architektury wieków średnich. A jednak, stanąwszy przed każdym z nich, uczuwamy obowiązek zachwycania się pod

wpływem hypnozy społecznej, z obawy, aby nie uchodzić za barbarzyńcę z pokaleczonym gustem. Weźmy przykład jeszcze jaskrawszy. Wiadomo, jak starożytni unosili się nad Pindarem i żadne święto, żadna orgia bezeń obejść się nie mogła. Dla nas obecnie jest on już tylko zbiorem martwych dźwięków. Czemu? Między innemi dlatego, że starożytni mieli do Pindara odpowiednią muzykę i odpowiednie tańce, które słuchaczów i widzów daleko więcej pobudzały, niż treść. Akcesorya te zaginęły i dlatego Pindar na nas wrażenia już nie sprawia. Otóż psychika większości utworów starożytnych i średniowiecznych, a nawet romantycznych uległa dla nas temuż losowi, co taniec i muzyka od Pindarowych. Pamiętajmy, iż my dotychczas jeszcze nie wiemy, jak właściwie grecy skandowali Homera. A czyż jest na świecie choć jeden żywy człowiek, któryby bez mdłości mógł przeczytać „Ruy Blasa," lub „Cromwella," te „delicye" pokolenia przedostatniego? W. Scott, który w pierwszej ćwierci naszego stulecia wzbudzał powszechny zapał, obecnie w zupełności już oddany został na pastwę mamek, bon i kucharek. Konia z rzędem temu, kto zdoła przeczytać od początku do końca, no, choćby „Ivanhoego"— to „najlepsze" dzieło. Ponieważ postęp polega na wyłamaniu się z pod hypnozy społecznej, na indywidualizacyi jednostek, kto wie, czy masa utworów dawniejszych w zupełności przez przyszłe pokolenia na bok odłożoną nie zostanie? Przy takich warunkach odtwarzanie starożytnego życia może mieć dwojakie znaczenie: albo służy ono tylko za ramkę, w którą autor, mniej lub więcej świadomie, wprawia współczesne myśli i uczucia, albo też jest ślepem naśladownictwem, mniej lub więcej, niedołężnem. W pierwszym wypadku może to być oryginalna forma dla genialnych utworów: wszak rzymianie Shakespeare'a są, jak wiadomo, angielskimi rycerzami i mieszczanami z czasów Elżbiety — co bynajmniej nie zmniejsza wartości jego dramatów. A i nasza literatura może się poszczycić kilkoma wspaniałymi utworami, gdzie na tle starożytnego życia przewijają się ludzie współcześni, o współczesnych uczuciach i myślach. Starożytne ramy nadają utworom tym tylko oryginalność i powab.

W drugim wypadku otrzymujemy mniej lub więcej niedołężne naśladownictwo. Świadczą o tem parnasowcy.

Lecomte de l'Isle, malując życie indyjskie lub greckie, musi zapożyczać z odnośnych dzieł starożytnych wszystkie porównania i obrazy, powtarzać je mechanicznie na każdym kroku, tak iż przybierają charakter zwykłych sztuczek. Fortele te dla indyjskiego życia (*Poèmes barbares*) są następujące: sakramentalne kwiaty lotosu, senne słonie, błąkające się po puszczach, skaczące wciąż jaguary i nareszcie zamyśleni bez ustanku bramini — których złośliwa fantazya mimowolnie przedstawia sobie w formie ludzi dłubiących w nosach— nad nieruchomemi rzekami. Dla życia greckiego (*Poèmes antiques*) wszystko aż do najmniejszej metafory skopiowane jest z Homera i dramaturgów. Inni parnasowcy z niemniejszym zapałem uprawiają kult Wiktora Hugo. Jest to hugolatria. Zauważmy, iż czynili to wówczas, gdy większość dzieł mistrza francuskiego była już prawie nieczytana. On jednak pozostał dla nich jedynem źródłem poezyi. Poznajmy ich bliżej. Gromadka urwipołciów, pobudzających swój geniusz machorką i fabrykowanem winkiem, wystawiała w siódmem dziesięcioleciu swe długie grzywy i komediancki ubiory — jak przystało na „rewolucyonistów" — w jednej z kawiarń paryskich, ku wielkiemu przerażeniu spokojnych filistrów. Przerażenie prędko zamieniło się na śmiech. Złośliwość przezwała ich parnasowcami, gdyż wspinając się na wyżyny, potykali się o budowę wiersza. Pracowali, jak woły, chodząc wielkimi krokami po kawiarni i gryząc pióra w poszukiwaniu rymu. Filistrom praca ta wielkiego szacunku nie wpajała i istotnie czyż można sobie wyobrazić okropniejszy zarobek chleba? Łyse czaszki krytyków nie miały w tym wypadku wiele kłopotu, aby wyśmiać teoryę nowej szkoły, chlubiła się bowiem tem, iż żadnej nie posiada. Zaprzeczała nawet możność jej istnienia: w literaturze są tylko ludzie z talentem i ludzie bez talentu. W ten sposób marny umysł, lecz zdolny naśladowca miał na oścież rozwarte podwoje, aby stanąć obok największego geniuszu. Ogłosiwszy tę wygodną teoryę, rozpoczęli tak zażartą walkę z „tendencyami," wobec mandaryństwa „świętej" sztuki, iż filistrowie znowu ochrzcili ich „les impassibles," „beznamiętni." Religią ich stał się wiersz: „le culte des vers, qui ne veulent rien dire." Byli fanatykami doskonałego rymu, sybarytami wyrafinowanej formy i dźwięcznych słów, bez względu na treść, która nigdy u nich nie wspólnego ze współczesną psychiką nie miała. Ich moralność składa się z jednego kanonu: „une phrase bien faite est une bonne action." Był czas, kiedy ludzie łamali swe pióra, gdy sprawa, której służyli, ginęła. Parnasowcy łamali je, gdy im się frazes nie udał. Powiadają nam, iż frazes „dobrze zrobiony" nigdy nie ginie. To jeszcze pytanie! Jedno tylko nie ulega wątpliwości: parnasowców obecnie już nikt prawie nie czyta, Heinego czyta świat cały, gdyż on był nietylko wierszokletą, ale współczesnym, rozumnym i czującym człowiekiem; na życie historyczne wywierał wpływ czynny. Na czele parnasowców stał Catulle Mendes, który ostatecznie piękny swój talent rozmienił na drobną monetę sentymentalnych, gazeciarskich opowiadań. Koło niego ugrupowali się: Sully Prudhomme, najsympatyczniejszy i najpoważniejszy ze wszystkich, który, niestety, wybierał abstrakcyjne, filozoficzne kwestye, mało nadające się dla rymowanego opracowania; Leon Dierx — ten nic mógł myśleć inaczej, jak rymami, chociażby o najpowszedniejszych przedmiotach; maszynka taka w naszym wieku przemysłowym jest rzeczą dość pospolitą; Armand Silvestre — „delicye" paryskich kokotek, opowiadający koszarowe anegdoty; Franciszek Coppée, tkliwy idealizator podmiejskiego życia i autor dramatów, zbierający oklaski wśród wzdychających przemysłowców, rozmarzonych kurtyzanek i czułych meklerów giełdowych; nareszcie Villiers de l'Isle Adam, ostatni romantyk i pierwszy dekadent, jak go nazywają, uczeń W. Hugo i Baudelaire'a. Dążąc do „nowej sztuki," której, niestety, sam stworzyć nie umiał i która jeszcze nie istnieje, nie pozbył się wszakże „heimweh'u" do romantyki. Chwilowo więc zajmował się wycieraniem przedpokojów u wielkich panów: stukał do wszystkich ministrów, książąt i królów w poszukiwaniu synekury. Juvenal wyraża się o poetach swego czasu, iż byli oni częściej „mulieres viris," niż „viri mulieribus." Ale sztuka szła zawsze w parze z jakiemś plugawem rzemiosłem. W średnich wiekach przedstawiciele jej gnieździli się zawsze po dworach pańskich, a jeżeli nie nosili kołpaka z dzwonkami, to mieli inne, niemniej wzniosłe funkcye. W naszych czasach dusza poetycka zawsze wzdycha do trzosu jakiegoś pana lub rządu. Wszyscy parnasowcy odpoczywają już oddawna w Akademii na wcale pokaźnych pensyach. Nie było to bynajmniej rzeczą trafu, iż aktorow zawsze traktowano z pogardą. Jeżeli młodzież współczesna z pewnem niedbalstwem mówi o poezyi i wogóle o sztuce, to nie w braku lub zepsuciu gustu trzeba szukać przyczyny. Obok tego, iż sztuka nigdy za psychiką swego czasu podążyć nie jest zdolna, obok jej reakcyjności nazywanej „niezależnością," przyczyniła się jeszcze przysłowiowa uniżoność, wyhodowana na gruncie różnych rzemiosł. Dopóki sztuka nie zostanie wyzwolona od zarobku, nie będzie się ona cieszyć wielkim szacunkiem. Powróćmy wszakże do V. d. I. Adama. W dążeniach swych do „nowej sztuki" mógł się zdobyć co najwyżej na naśladownictwo Poego i Baudelaire'a. W poszukiwaniu oryginalności stawał się dziwacznym, często— śmiesznym kręcąc się koło „nieznanego," wpadał w mistykę, a „wyrafinowane uczucia" przyjmowały charakter nienaturalnej waryacyi — zachwyty brzydotą, rozkosz z widoku krwi, wszystko to wzięte jest od Poego, z takiem samem wyrachowaniem na przestrach, często — obrzydzenie czytelnika. Oryginalność jego najlepiej przejawiła się w ubiorach, ruchach i wogóle w całym tym przyborze ekscentryczności, którym poeci chcą się wyodrębnić, a tylko się ośmieszają. Otaczał się tajemniczością spiskowca. Nikt nie wiedział, kiedy się urodził, ani gdzie mieszkał. Przez całe życie grał komedyę i pozował.

Tak, literatury współczesnej, nowożytnej, któraby mogła dać wszechstronną syntezę moralną, umysłową i estetyczną Francya dotychczas nie posiada. Parnasowcy ani na krok nas do niej nie przybliżyli. O Baudelaire'rze Bourget opowiada, że gdy się znajdował w ustronnym gabinecie restauracyi z ładną dziewczyną, to „pour donner la change aux garçons il remuait les chaises" — taki był wyczerpany i sztuczny. Jeszcze w większym stopniu można to powiedzieć o jego utworach, i o utworach jego epigonów-dekadentów. Literatury, któraby nas mogła pochłaniać tak, jak Homer greków pochłaniał, jeszcze nie ma. W tem, co nam starożytność zostawiła, możemy jedynie szukać ucieczki od ohydy współczesnego życia. Ale to nie znaczy żyć! W tem, co nam współcześni dają, znajdujemy tylko cząstkowe, zadawalające urywki, nigdy syntezy. Zwykle przy każdym utworze myśl badawcza pracuje i oblewa iskry zapału zimną wodą krytyki. Najwięcej zrobili dotychczas t. z. psycholodzy — literatury europejskiej. I u nich jednak dusza leży jeszcze na stole anatomicznym. Wykrywają nam jej upadki, przewrotności, zdrożności... Pokazują, jak kryształy dawnych uczuć i pojęć się rozkładają. Ale syntezy jeszcze niema. Nie umiemy bowiem nazwać syntezą klerykalno-kalwinistycznych ideałów Bourgeta, ani mistyczno-reakcyjnych Tolstoja i Dostojewskiego. Zresztą i w tej dziedzinie Francya nikogo, oprócz Stendhala nie wydała. Pozostali „psychologowie" to naśladowcy — nie wyjmując Bourgeta.

L. W.

LITERATURA NIEMIECKA.

Tino Moralt, powieść z życia artystów.

Autor powieści, której tytuł wypisaliśmy w nagłówku, do niedawna nieznany był w tym charakterze publiczności niemieckiej. Znano go natomiast jako malarza. Walter Siegfried, szwajcar, urodzony w Bazylei, gdzie Böcklin i Jakób Burckhardt ujrzeli światło dzienne, pierwotnie zostać miał kupcem. Podczas pobytu w Paryżu uczuł jednak powołanie do sztuki i został malarzem — jak niegdyś Gotfryd Keller. Niezadowolony ze swoich prac, które wykonywał najpierw w Paryżu, następnie w Monachium, porzucił pędzel i spróbował pióra jako powieściopisarz — z lepszym skutkiem. Poznajomiliśmy czytelnika z życiem Waltera Siegfrieda, gdyż w utworze jego znajdujemy bohatera, przechodzącego podobną kolej. „Tino Moralt" to spowiedź, w której autor wypowiada wrażenia całego dotychczasowego życia; wyciąga zeń tragiczną konsekwencyę, której sam szczęśliwie uszedł, ale która mu groziła. Jest to owa kuracya umysłowo-moralna, która dla

tylu poetów pierwszorzędnych była potrzebą niezbędną, zanim przystąpić mogli do tworzenia dzieł zdrowych. Lecz mimo iż „Tino Moralt“ jest pierwszą powieścią Siegfrieda, posiada zalety niepospolite, pewną piękność, którą łatwo wytłomaczyć sobie dojrzalszym dziś już wiekiem autora. Nie jest to powieść zwykłego gatunku, lecz obraz rozwoju psychicznego artysty; żywioł kobiecy i erotyczny tak drobne zajmuje w niej miejsce, że S. zatytułował ją nie powieścią, lecz „walką i końcem artysty“ *).

Tino Moralt przebywa owe męki, które złożyły się na „Tragedyę Michała Anioła“ — że użyjemy słów Klaczki. „Skoro sztuka moja nie może oddać mojego najgłębszego uczucia, nie ma ona dla mnie żadnej wartości“ — oświadcza bohater. Tak wysokie jest pojęcie jego o sztuce, tak nadziemskie sny artystyczne, że ręka jego mimo nabytej wprawy oddać nie umie kształtów widzianych w magicznem półświetle marzącej wyobraźni.

Konstantyn Moralt uchodzi za najzdolniejszego w gronie młodych artystów monachijskich. Ze wszystkich stron świata napłynęły tu talenty, z których każdy szuka własnej drogi we wspólnej szkole. Autor charakteryzuje wybornie cały szereg kolegów Moralta, pozostających z nim w stosunkach. Najbliższym mu przyjacielem jest norwegczyk Rolmers, olbrzym jasnowłosy, spokojnie i pewnym krokiem postępujący po drodze sztuki ściśle narodowej. Szwajcar Aebi, rodak Moralta — którego kołyskę autor przenosi do Zurychu — niezręczny, ale pilny, również powoli zbliża się do celu. Wreszcie mały, ruchliwy Holleitner, austryak, fanatyczny „pleinair'zysta,“ należy do najściślejszego grona przyjaciół Moralta. Lecz po za tem gronem widzimy liczne inne żywo nakreślane postacie: Duplessy'ego, który tworzy z największą łatwością i ma powodzenie, mimo iż mu brak całkowicie krytyki wobec prac własnych; Valentina, pięknego, genialnego leniucha, który tylko raz do roku przez parę tygodni pracuje, lecz wówczas tworzy dzieło oryginalne, zdumiewające — i wielu jeszcze innych, z których wyróżnia się Piotr Lang głęboką powagą. Mimo żelaznej wytrwałości i pracy nie może on zdobyć uznania u publiczności i krytyki, tak, iż w rozgoryczeniu zabija się. Śmierć kolegi tego czyni silne wrażenie na Moralcie, którego zdrowie moralne również głęboko wówczas już było podkopane.

W ośrodku tego koła widzimy Moralta, po którym wszyscy spodziewają się dzieł niezwykłych. Pracuje on właśnie nad pierwszym oryginalnym obrazem. Pomysł jego przypomina kierunek Bocklina. Pragnie on przedstawić tęsknotę w postaci młodzieńca, spoczywającego w przepysznej krainie południowej. Wielką część powieści zajmują dzieje powstania tego obrazu. Poznajemy wszystkie tendencye, połączono z wykonaniem podobnej kompozycyi. Cieszymy się z bohaterem, który znalazł odpowiedni model, dzielimy obawy jego o zdrowie Nicola, smucimy się jego śmiercią. Autor odsłania nam wszystkie stany duszy artysty tworzącego, jego wątpliwości i walki, kiedy z pędzlem stoi przed sztalugą, nowe pomysły, które powstają w nim, kiedy zmywa pędzle, smutek myśli, kiedy samotny, niezadowolony spożywa obiad w pracowni. I pojmujemy go, kiedy grono przyjaciół i znawców sztuki unosi się nad pięknością ukończonego wreszcie utworu, a on, zgrzytając i rumieniąc się ze wstydu, pełen gniewu spogląda na dzieło, które tak nędznie oddaje wyniosły obraz, stworzony w duszy. Wszystkie te przejścia opisuje Siegfried tak wiernie, że nie znając życia jego, nie trudno się domyśleć, że pisze pamiętniki, a nie powieść. Jeszcze większego dodaje im uroku okoliczność, że Moralt nie jest malarzem wyłącznie, zamkniętym w ciasnych ramach swej sztuki, ale naturą nawskroś artystyczną, żyjącą w sferze muzyki i poezyi, zarówno jak w dziedzinie plastyki.

Z uzdolnieniem artystycznem łączy się w Moralcie namiętne zamiłowanie do przyrody. W pojmowaniu jej piękności znowu przypomina Siegfried słynnego ziomka swego Böcklina. Nietylko bowiem rozumie wielkość właściwą naturze, jej harmonię i barwę, lecz ożywia ją zawsze nastrojem własnej duszy, wnosi w nią jakiś pierwiastek subjektywny.

Ostatnia część powieści odgrywa się w górach bawarskich, dokąd Moralt się schronił, zachwiany już w swej równowadze, dla uniknięcia niespokoju wielkomiejskiego. Odtąd widzimy go zawsze niemal samotnym z naturą, w którą zagłębia się z naiwnem zdumieniem dziecka, a zarazem z wyobraźnią artysty. Zbliża się katastrofa, która po walkach bolesnych zbawia nieszczęśliwego i uwalnia go od brzemienia życia. Siegfried rozwiązał tu jedno z najtrudniejszych zadań poetyckich: przedstawił ów tajemniczy związek między geniuszem a obłąkaniem, który nauka nowoczesna bada tak gorliwie. Śledzimy przemiany, odbywające się w duszy samotnika, który, błąkając się po górach, ulega coraz głębszemu omroczeniu umysłowemu. Widoki przyrody przetwarzają się w nim na istoty imaginacyi; a właśnie w szybkości, z jaką każdy obraz w nim powstaje, rozpływa się i przechodzi w inny obraz, poznajemy postępy choroby umysłowej. Wśród spłowiałych barw jesieni pojawia mu się pierwsza halucynacya, postać utraconej kochanki. Moralt traci sen, coraz bardziej stroni od ludzi, wreszcie zaczyna się obawiać nawet małych dzieci. Mimo straszliwej prawdy tego rozkładu wewnętrznego, autor złagodził okrutność jego, wplatając w dzieje bohatera chwile jaśniejsze, wrażenia weselsze. Przybywają listy od przyjaciół, pełne dobrych wiadomości; nadchodzi wiosna, cała natura się uśmiecha, a w wiosce górskiej panuje radość. Lecz proces rozkładowy już wstrzymany być nie może. Moralt ulega atakowi gwałtownemu i umiera na udar serca.

Ladawa.

*) *Tino Moralt* Kampf und Ende eines Künstlers. [illegible]

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LIBERUM VETO.

Zmarszczki zestarzałego wieku. — Ogłoszenia na niebie. — Wpływ tego wynalazku na życie nasze w przyszłości. — Co powiedzą mieszkańcy innych planet. — Niech nie odgadną prawdy. — Szczepienie chorób ludziom dla celów naukowych i społecznych. — Jednostka i gromada. — Dramat głodowy. — Plony tegoroczne. — Zatarg *Ziarna* z *Dziennikiem dla wszystkich*. — Dwa oskarżenia nierównej wagi.

Francuzi zapomocą różnych konceptów usiłują pokryć zmarszczkami oblicze naszego sędziwego wieku. Pod godłem: *fin du siècle* podsuwają zdziecinniałemu starcowi najniedorzeczniejsze pomysły, które on przyjmuje i wykonywa z uśmiechem idyotycznego zadowolenia. To się ubiera w cudaczną odzież, to rozsyła do ludzi waryackie pytania, to pływa po piasku, to chodzi po morzu, upewniając przytem, że dopuszcza się tych wszystkich wybryków z zupełną świadomością. Jak zwykle starcy, mniej on dba o idee, zasady, natchnienia, porywy, a więcej o wygodę i korzyści praktyczne. Właśnie jeden z synów naszego wieku, niecodrodzonych od ojca, podjął myśl, która czy będzie urzeczywistniona, czy też nie, zasługuje na uwagę. Mianowicie niejaki Grave, bardzo uczony inżenier francuski, postanowił zużytkować sklepienie nieba dla... ogłoszeń. Doprawdy — dla o-gło-szeń. Co obchodzi praktycznego wynalazcę, że on swoim pomysłem oburzy lub przerazi pobożnych, poetów, tych wszystkich, którzy dotychczas przywykli zwracać oczy ku niebu w celach idealnych, a teraz widzieć tam będą inseraty? Jeżeli jaki czas, to zwłaszcza *fin du siècle* nie zna nic wyższego nad interes, przed którym wszystkie inne bogi ustąpić muszą. Zanim przedstawię czytelnikom zmienioną postać ich życia pod wpływem tego wynalazku, winienem zaznaczyć jego rodowód. Pewne, przyrodniczo stwierdzone wypadki, jak wytryski świetlane w okolicach podbiegunowych itd., naprowadziły Grave'a na jego oryginalny projekt. Zaczął on próbować, badać, doświadczać, wreszcie zdołał udoskonalić soczewki i reflektory inżenierów amerykańskich odpowiednio do swego celu. A teraz puśćmy wyobraźnię w lot ku przyszłości.

Upadający pod krzyżami losu, smutni i zrozpaczeni, wzniosą oczy ku niebu i zobaczą: „Najlepsze koniaki sprzedaje...“

Gdy w noc pogodną wyjdzie na ulicę poeta i szukając natchnień, wpatrzy się w gwiazdy, dostrzeże między niemi: „Restitutions-fluid, płyn dla koni.“

Kochankowie, osłonięci krzakiem bzu, uśmiechną się do jedynego świadka ich zwierzeń i pieszczot, do księżyca; nagle okrąży go rzucony reflektorem świetlisty napis: „Kawę żołędziową poleca...“

Naturalnie rozkoszy tego rodzaju znajdzie się więcej. Wyborca, spacerujący wieczorem, z zadartą głową, będzie odczytywał na niebie plakaty: „Poślijcie do parlamentu Wykrota, człowieka uczciwego, niezależnego i rozumnego, a nie dawajcie głosów Koprowi, który jest znanym łotrem, oszustem i głupcem“; albo: „Rodacy, wybierzcie zasłużonego syna ojczyzny, przezacnego Kopra, a odtrąćcie z pogardą Wykrota, który urodził się z hańby, utuczył się nieprawością i umrze w zbrodni.“

Prasa słusznie przechwala się, że w udoskonaleniu środków wydawniczych doszła do zadziwiających rezultatów, przewyższających znacznie nawet jej wysoką sztukę kłamania. To, co *Kuryer codzienny* opowiedział nam o swojej fabrykacyi i trudnościach wytłoczenia codzień ilustracyj (za które Bóg musi mu często przebaczać), jest wobec techniki bogatych dzienników zagranicznych tem, czem zwykłe krosna wobec parowych warsztatów tkackich. Nowa maszyna drukarska *Newyork Heralda* odbija 90,000 egzemplarzy sześciostronicowego numeru na godzinę! Na sekundę wypada 25, to znaczy, zanim zdołamy przeliczyć do trzech, maszyna wyrzuci 25 wydrukowanych, przeciętych, sfalsowanych i policzonych egzemplarzy *Heralda*. Ażeby uzupełnić wyobrażenie, dodamy, że potwór ten spożywa przez godzinę trzy role papieru, zawierające pas 80 centymetrowej szerokości, długi 84,000 metrów — tj. około 12 mil, wyraźnie — mil. Wszystko są to rzeczy prawie bajeczne, a jednakże zaćmiewa je pomysł umieszczania ogłoszeń na niebie. Naprzód bowiem sama sztuka jest większa, a powtóre przełom donioślejszy. Zastanówmy się tylko, co warte będą zachęty naszych *Kuryerów*, wabiących publiczność do ogłaszania się w nich przechwałkami, że posiadają kilkanaście tysięcy abonentów, a kilkaset tysięcy czytelników? Jeżeli agent Grave'a zacznie w Warszawie rzucać reflektorami inseraty na strop nieba, odrazu całe Królestwo może się dowiedzieć, że ktoś na ulicy Żórawiej ma do sprzedania suczkę lub materac. Czemże wtedy będzie kilkaset tysięcy czytelników jakiegoś popularnego dziennika!

Nie ulega wątpliwości, że dzięki temu oryginalnemu środkowi my będziemy „dobrze obsłużeni,“ ale co powiedzą mieszkańcy innych planet, gdy na oddzielających je

przestrzeniach i około siebie ujrzą ogłoszenia o pismach prawomyślnych, mopsach, czekoladzie, pończochach, propinacyach itd.? Jeżeli znają języki ziemi, odrazu przejmą naszą cywilizacyę; jeżeli zaś nie — zaczną badać te dziwne i zagadkowe znaki, przypuszczając zapewne, że są to odblaski jakichś potężnych świateł, któremi glob nasz nagle zapłonął. Życzę im, ażeby nigdy z nami się nie zetknęli i nie rozczarowali. Byłoby im niezawodnie bardzo przykro, gdyby się dowiedzieli, że geniusz ludzki, stwarzając maszynę, odbijającą 90,000 egzemplarzy dziennika na godzinę, obdarzył tem dobrodziejstwem i zaszczytem szybkiego rozpowszechniania wiadomości najrozmaitsze plotki i śmieciny reporterskie, że zamieniając niebo na wielki plakat, zapisał je świetlnemi głoskami geszeftu. Mieszkańcy Merkurego lub księżyca mają zapewne także swoje ułomności i paskudztwa, ale my, znając nasze, lepiej nie ryzykujmy się na okazanie im tego „dorobku cywilizacyi,“ zwłaszcza zaś z „końca wieku.“

Fin du siècle obchodził świeżo wspaniały tryumf naukowy. Dr. Cornil oznajmił w Akademii paryskiej, że pewien lekarz amerykański, jego uczeń, zaszczepił jakiejś kobiecie tajemnie raka i otrzymał „wynik pomyślny.“ Gdy prasa francuska, sądząc, że to doświadczenie wykonał jeden z jej ziomków, narobiła wrzawy, dr. Cornil przypomniał z przeszłości inne wypadki, w których chciwi wiedzy badacze szczepili również swym pacyentom syfilis i inne choroby. Fakty te postawiły przed opinią publiczną pytanie: czy tego rodzaju próby są karygodne, czy może usprawiedliwione korzyścią naukową? W samej kwestyi odzwierciedla się charakterystyczna fizyognomia naszej etyki, która jednostki nie uważa za osobny, z innemi równouprawniony świat, ale za ofiarę obowiązaną każdej chwili poświęcić się dla gromady. Gdzieindziej — jeśli okoliczności na to pozwolą — przedstawię tę okrutną teoryę szczegółowo; tu dotknę jej ogólnie i tylko w zakresie powyższego zagadnienia. Pomijam wzgląd, że medycyna zapomocą owych szczepień nie dokonała żadnego wielkiego odkrycia i przypuszczam, że to zrobić mogła lub nie — cóż stąd? Dlaczego życie Jana, narażone w eksperymencie, ma być mniej warte, niż życie Pawła, Gawła, Kaspra i Bonifacego? Dlaczego pierwszy ma ginąć, ażeby inni ocaleli? Niewątpliwie jeden funt soli posiada mniejszą cenę, niż 10 lub 100 funtów; ale waga fizyczna nie może wytwarzać zasad układu stosunków między ludźmi. Niczego to zaś nie dowodzi, żeśmy od wieków przyzwyczaili się do jakiejś formuły, którą uważamy za niezbitą, ze machinalnie powtarzamy: osobnik winien się poświęcić dla dobra wielu osobników; owa powinność bowiem nie ma innej podstawy prócz tej, że zawsze dogadza większości. Oto stoi przed nami kobieta, której lekarz amerykański chce zaszczepić raka, a my wraz z nim przekonywamy ją o potrzebie poddania się tej operacyi przez miłość dla wiedzy i dobra ogólnego — co ona nam odpowie?

— Posiadam takie same prawa do życia, jak wszyscy ludzie, którzy istnieją i istnieć będą. Czemu ja mam je tracić, a nie setki lub miliony innych? Cóż mnie to obchodzi, że moja śmierć objaśni wam zagadkę szczepień raka, a nawet sposobów leczenia go? Żądacie ode mnie, ażebym ja dla siebie mniej znaczyła, niż jakaś Marya, Filomena, Gertruda, którym powinnam usłużyć?

Jakim argumentem odparlibyśmy te rozumowanie? Tym tylko, że 1 jest mniej, niż 2 lub 1000. Ale ta prawda rachunkowa nie jest prawdą etyczną. Lekarze więc, którzy, skracając sobie drogę badania, poświęcają podstępnie życie jednostek chociażby w tym celu, ażeby je uratować innym, dopuszczają się przestępstwa, które karane być musi. Jeżeli chcemy istotnie posuwać moralność w rozwoju, przestańmy na jednostkę patrzeć ze stanowiska interesu gromady, lecz pamiętajmy, że taki dopiero ustrój społeczeństwa będzie doskonały, który się oprze na szczęściu *każdego*. To jest idea wyższa ponad wszystkie dobra większości.

Chociaż filantropia tak dawno i tak starannie szczepi swoje balsamy, ubezpieczające od niedoli, nie zapobiega takim dramatom, jaki nam się odsłonił w sądzie kryminalnym. Stanął przed sprawiedliwością niejaki Aleksander Koziński, oskarżony o zamiar pozbawienia się życia wraz z córką. Nie mogąc znaleźć pracy, dostał się w szpony najstraszniejszej nędzy. Przez trzy dni nic nie jadł. Gorzej wszakże od głodu dokuczał mu widok dziecka, które z nim dzieliło katuszę. Gdy już stracił wszelką nadzieję, postanowił zakończyć. Pewnego dnia właściciel szkoły pływania, Graf, ujrzał nad brzegiem Wisły człowieka, który wziąwszy na ręce dziewczynkę, wszedł do rzeki i rzucił się w jej nurt. Świadek tego widoku pospieszył z pomocą i wyratował tonących. Ocalony wszakże nie był mu wdzięczny za tę usługę i usiłował wskoczyć do wody powtórnie. Ale ubezwładniono go i odwieziono do szpitala, a następnie stawiono przed sądem. Kodeks nie pyta, czy kto ma co jeść i takie przestępstwa karze pozbawieniem wszelkich praw i ciężkiemi robotami. Ale sędziowie mają serca, a nawet najtwardsze muszą zmięknąć wobec podobnego dramatu. Zezwolili więc, ażeby zbadano przez biegłych i świadków ówczesny stan umysłowy oskarżonego. Nawet bez uciekania się do wykrętów dla złagodzenia surowości prawa orzec można sumiennie, że Koziński w chwili samobójstwa był zupełnie niepoczytalny i rozstrojony. Gdzie jest człowiek, któryby po trzydniowym absolutnym głodzie, zjadłszy tylko parę „jakichś grzybów,“ zebranych w parku prazkim, zdołał zachować przytomność umysłu? Jesteśmy pewni, że gdyby ktoś chciał Kozińskiego powstrzymać od wskoczenia do rzeki obietnicą dostarczenia mu pracy, jużby nie oddziałał na zrozpaczonego biedaka. Czytelnicy drukującej się obecnie w *Prawdzie* powieści Hamsuna widzą, jakie to dziwne i nieprzewidziane zaburzenia w sferze psychicznej człowieka wywołuje głód. Któż więc wątpić będzie, że Koziński w znacznej mierze utracił świadomość swych czynów? Gdyby ją posiadał, może byłby się zdobył na energię i znalazł sobie jakąkolwiek pracę. Ale on w wycieńczeniu działał sennie, bezprzytomnie. Jedyną siłą, która go jeszcze poruszała, była rozpacz: ona go zaprowadziła nad Wisłę i rzuciła w jej fale. Nie potrzeba więc było wówczas obserwować go zblizka, ażeby dziś, po roku, drogą wywodu fizyologiczno-psychologicznego stwierdzić to, czego kodeks wymaga dla uniewinnienia biedaka.

Z Cesarstwa nadchodzą wieści o obawie głodu skutkiem nieurodzajów w niektórych okolicach, a nawet wydano urzędowe polecenia, mające zapobiedz lub zmniejszyć klęskę. O ile wiadomo i o ile nie dotkną nas jeszcze jakieś plagi, Królestwo wyniesie z roku obecnego niezłe plony. Wszędzie na jesieni i po zimie zapowiadały się one znacznie lepiej, ale wiosna je zmarnowała. Zwłaszcza zasiewy na ziemiach wilgotnych ucierpiały wiele. Mimo to — jak rzekłem — rolnictwo nasze nie ma powodu rąk załamywać, a może je nawet zacierać będzie, jeśli rubel nie zaprzestanie swego ruchu zniżkowego.

Zaznaczam tę pociechę ziemian nietylko jako objaw ekonomiczny szerokiego znaczenia, ale nadto jako środek mogący uśmierzyć walkę dwu pism konserwatywnych. Bo jeżeli ziemianom będzie dobrze, oba kłócące się organy znajdą zwolenników i nie będą potrzebowały ich sobie wydzierać. Tymczasem toczy się zacięta wojna. Według *Ziarna*, które zamieniło się na tygodnik, współzawodniczący z niem *Dziennik dla wszystkich* „wbrew elementarnym zasadom honoru i uczciwości dziennikarskiej dostawszy adresy jego prenumeratorów rozsyła im od miesiąca bezpłatnie swe egzemplarze. Mało tego — powiada rozżalone pismo — niektórzy z naszych prenumeratorów nie otrzymują już wcale *Ziarna*, pomimo iż takowe im wysyłamy, a natomiast dostają tylko *Dziennik*.“ Gdy napomnienia prywatne nie poskutkowały, redaktor *Ziarna*, napiętnowawszy publicznie „bezecne, nieuczciwe i niehonorowe postępowanie“ wydawcy *Dziennika*, wyraża „nadzieję, że te zwłaszcza pisma nasze, które energią i stanowczością sądów innym przodują, nie uchylą się od wypowiedzenia swego poglądu.“ Mojem zdaniem pogląd może być tylko jeden. *Ziarno* oskarża *Dziennik* 1) o podstępne przywłaszczenie sobie jego adresów i 2) o przecinanie jakimś tajemnym, a przynajmniej nieokreślonym sposobem wysyłki jego numerów. Co do pierwszego — nam wystarczyłoby zupełnie uwiadomienie naszych abonentów — nic więcej. Ale drugi punkt — jeżeli prawdziwy — zawiera już zarzut cięższego kalibru, który kwalifikuje się do sądu, gdzie też *Ziarno* powinno dochodzić swoich pretensyj. Nie możemy i nie powinniśmy zabraniać nikomu dostarczania prenumeratorom *Prawdy* innych wydawnictw, bo oni nie są jej inwentarzem, lecz ludźmi z wolnym wyborem swego pokarmu umysłowego; gdy wszakże ktoś zatamuje nam drogę wysyłania pisma jego przedpłatnikom — to całkiem inna sprawa, która ze współzawodnictwa czyni przestępstwo. Czy *Ziarno* posiada dowody na poparcie tego ostatniego zarzutu — to jego rzecz.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Uwieńczony pryncypał. — Projekt orkiestry górniczej i pisma specyalnego. — Skażenie języka. — Następstwa rozwoju techniki i zastoju w przemyśle. — Towarzystwo samopomocy w Tomaszowie. — Jarmark wełniany. — Lichwa w odmiennej postaci. — Projekt walki ze spekulantami. — Spór o wyścigi.

Co za piękny, co za budujący przykład stosunku pryncypała do pracowników podaje *Tydzień* piotrkowski! W gęstych obłokach obfitego kadzidła unosi się kierownik fabryki szkła w Będzińskiem: „Chcąc urzędników złączyć i skupić, wybudował w podwórzu fabrycznem kręgielnię, w której po pracy dziennej zgromadzeni ze swym kierownikiem przepędzają czas swobodnie na tej prawdziwie męzkiej zabawie.“ Podwładni, oceniając niezmierzoną dobroć i łaskawość swego zwierzchnika, przepełnieni wdzięcznością, godnie uczcili jego zasługi. W uroczystym dniu imienin wręczyli mu upominek, dębowym liściem uwieńczony, a wieczorem urządzili wspaniałą iluminacyę. „Więcej nam takich potrzeba!.. Cześć temu, który innym świeci chwalebnym przykładem!“ — woła korespondent.

W tem samem piśmie znalazł się gorący rzecznik z Sosnowic, przemawiający w sprawie potrzeb duchowo-materyalnych robotników górniczych. Żąda utworzenia orkiestry górniczej, której zadaniem byłoby wyparcie drużyn muzycznych, przybywających z sąsiednich miasteczek pruskich na zabawy i wszelkie uroczystości; byłaby ona przytem „źródłem dochodu dla samych górników,“ to jest, że członkowie orkiestry po kilkunastogodzinnej pracy w kopalniach, resztę czasu przeznaczonego na wypoczynek, zużytkowaliby na zajęcia uboczne, grywając na zabawach u swych zwierzchników. O wiele szczęśliwszym jest inny pomysł tego samego korespondenta: — wydawnictwo pisma popularnego dla górników. Projektodawca radzi to uczynić *Przeglądowi technicznemu* w formie przystępnego dodatku, którego zadaniem byłoby oprócz

rzeczy fachowych oczyszczać język z chwastów. Zarosły one tak obficie w mowie robotników górniczych, że prawdopodobnie żadne już środki nie zdołają ich wyplenić. Oto próbka mowy robotnika-polaka, który nigdy nie był na Szląsku pruskim: *„Aj uni, uni* (*Sie, Sie!*) *niek ino fater nie szpasuje, a wciepnie westę, co leży na wirchu i tego ibercijera bez fleków, co to kosztowoł trzydwadzieści mark (dreiundzwanzig Mark)*. Ma to znaczyć: „Ach, niech ojciec tylko nie żartuje, ale włoży kamizelkę, która leży na górze i surdut bez plam, który kosztował 23 marki." Czy może być inaczej tam, gdzie śród robotników i oficyalistów większy procent jest niemców i gdzie wybitniejsi urzędnicy, nietylko po polsku nie rozumieją, ale nawet nie znają alfabetu łacińskiego, jak np. w Towarzystwie hr. Renarda główny sekretarz biura centralnego?

Nieuniknione przy obecnym porządku rzeczy wyniki rozwoju techniki w wielkim przemyśle fabrycznym dotkliwie poczuli na sobie robotnicy łódzcy. W jednej z większych fabryk tamtejszych wprowadzono nowe maszyny przędzalne, ograniczające znacznie pracę ręczną. Ogółem jest ich 22; wymagają one dla swej obsługi tylko dwóch robotników dorosłych i 15 — 20 nieletnich. Przy systemie dawniejszym czynność tę załatwiali przy każdej maszynie z osobna— jeden dorosły i 3—5 nieletnich, a więc obecnie liczba rąk roboczych zmniejsza się o sześć razy. Zrobiono w wielu fabrykach jeszcze inne ograniczenia z powodu zastoju w przemyśle, wynikłego, jak utrzymuje łódzki korespondent *Gazety Radomskiej*, z masowego wysiedlania w ostatnich czasach żydów z cesarstwa, którzy byli agentami lub odbiorcami hurtownymi wyrobów łódzkich. Z tego powodu między innemi z fabryki Ludwika Geyera wydalono 38 tkaczów. Co ci ludzie będą robili, o to nikt nie pyta. Może żarliwi wyznawcy samopomocy poradzą im utworzyć stowarzyszenie dla wyszukiwania pracy i wspierania się wzajemnego, na wzór subjektów handlowych i techników fabrycznych w Tomaszowie Rawskim, którzy niedawno otrzymali zatwierdzenie ustawy towarzystwa o programie następującym: 1) udzielać członkom rzeczywistym pożyczek i zapomóg bezzwrotnych, 2) wyszukiwać miejsca dla tych, którzy utracili posady nie z własnej winy, 3) wydawać zapomogi w razie choroby uczestników, 4) zajmować się pogrzebem biednych członków rzeczywistych. Kapitał powstaje ze składek (jednorazowo 2 rs. i po rublu co kwartał od każdego członka rzeczywistego) procentów od kapitałów, ofiar i wreszcie ze źródła bardzo u nas upowszechnionego — zabaw. Budującym jest paragraf 2-gi, obdarzający dobrodziejstwem pomocy tych, którzy utracili posady *nie z własnej winy*. Za takie karanie pracowników nie mogących zadowolić swych pryncypałów, powinni być wdzięczni ci ostatni twórcom ustawy. Jak będą załatwiać poświadczenia *własnej* lub *niewłasnej* winy? Rzecz prosta, iż wyjaśnienie musi pochodzić od pracodawców. O ile wszakże wiemy, powód usunięcia tłomaczą oni zawsze winą pracownika i potrafią łatwo ją wynaleźć. Nie wielu zatem skorzysta z pośrednictwa w wyszukiwaniu pracy, jeżeli paragraf będzie stosowany z surowością suchej litery prawa.

Dla czego wytwórcy wełny nie zawiążą jakiego stowarzyszenia „samopomocy" dla wyszukiwania uczciwych nabywców? Tegoroczny jarmark Świętojański sporo im krwi napsuł, a panom kupcom i przekupniom z zagranicy dał możność zrobienia dobrego interesu nie po raz pierwszy. Wiedzą oni, że szlachcic zawsze goły na gwałt potrzebuje gotówki, nie spieszą się więc z kupnem, nie gorączkują, pozornie obojętni na dobroć towaru, pobijają swoją flegmą dostawców. Jest to najzwyczajniejsza taktyka kupiecka, o której doskonale wiedzą nasi wełniarze, a jednak nie potrafią jej się oprzeć. W roku bieżącym ta walka podjazdowa odbyła się z nieubłaganą surowością. W miarę dłuższego oporu dostawców, kupcy z dniem każdym coraz niższe ceny dawali i w końcu ofiarowywali o sześć talarów mniej za centnar w stosunku do cen zeszłorocznych. Szlachta się poddała. Za wełny czesankowe i kortowe, najbardziej poszukiwane, płacono od 66 do 70 talarów, za grube mniej niż 60, za sukiennicze 70 z ułamkiem, za wysoko cienkie od 15 do 20 talarów niżej w stosunku do cen zeszłorocznych, czyli około 40 talarów mniej w stosunku do cen zwykłych, względnie zaś do cen z r. 1889 płacono za wełny czesankowe do 15, a za wysoko cienkie do 40 talarów niżej. Cierpliwsi i odważniejsi doczekali się w ostatnim dniu jarmarku lepszych cen. Kupcy widząc, iż żaden postrach nie zdoła przełamać ich stanowczości, postąpili w tym dniu o dwa talary wyżej w stosunku do poprzedniego, nazajutrz zaś po jarmarku dawano po *cztery* talary więcej. Kto są ci panowie, którzy wytwarzają ceny dowolnie, bez względu na położenie rynków zagranicznych? Sześciu kupców zagranicznych i dwóch fabrykantów, mających pod swoją wodzą miejscowych fabrykantów drobnych i przekupniów. Pomimo, że kurs rubla w roku bieżącym nie wiele się różnił od zeszłorocznego w tym samym czasie, pomimo że ceny wełny na wszystkich rynkach zagranicznych z wyjątkiem Wrocławia pozostały te same, dowóz wełny był o 10—12% mniejszy, mycie dobre, a zapasy wszystkie rozchwytane przez fabrykantów, pomimo tak przyjaznych warunków, nasi dostawcy sprzedali swój towar po cenach niższych niż w roku zeszłym i zaprzeszłym. Co tutaj więcej podziwiać: czy niedołęstwo wytwórców, czy spryt ośmiu geszefciarzy, którzy zdołali odciąć zupełnie wpływy rynków zagranicznych od warszawskiego? P. Nitkowski w *Słowie* podaje trzy środki zaradcze: *„wytrzymywanie* przekupniów wyzyskujących," „sprowadzenie na targ warszawski choćby dwóch *poważnych* fabrykantów wyrobów wełnianych z zagranicy" i — wrazie jeżeliby kupcy przy niskiem zaofiarowaniu cen uparcie się trzymali — zostawić w składzie bankowym wełnę i wziąć na nią zaliczkę. Fabrykanci potrzebują zawsze wełny, musieliby więc podnieść ceny. Ten ostatni projekt jest najpraktyczniejszy. Sprowadzanie „poważnych" fabrykantów z zagranicy projektodawca sam zalicza do spraw trudniejszych, z powodu niekorzystnego pojęcia o naszym towarze za granicą: „przypuszczają oni, że z wełną źle się obchodzimy, a często nieuczciwie, gdyż kupują niekiedy znaczne partye od naszych kupców żydów, którzy od czasu do czasu lubią różne malwersacye urządzać." Trzeba więc byłoby przedtem długo pracować nad wyrobieniem lepszego pojęcia o naszej wełnie. *Wytrzymywanie* jest najmniej skuteczną receptą, gdyż równa się to zalecaniu tańczenia rekonwalescentowi po tyfusie. Łatwo *wytrzymywać* temu, kto nie potrzebuje gwałtownie gotówki. Takich śród naszej szlachty na palcach policzyć można.

Dzięki tej nieustającej potrzebie pieniędzy, handlarze ciągną olbrzymie zyski nietylko z wełny, lecz i zboża. Oto charakterystyczne wyznanie szczere jednego z kupców: „Ja takich obywateli, którzy kontrakt zrobią, a na termin zboże dostawią, nie lubię. Ale kiedy szlachcic sprzeda 30,000 pudów pszenicy na pewien termin, w kontrakcie jest zastrzeżona kara za każdy dzień zwłoki po 2 kop. od puda, a obywatel na czas zboża dostawić nie może, bo albo nie wymłócił, albo podwód nie dostał, albo urodzaj był niedobry; wtedy po odliczeniu kar zostaje na moją korzyść 20, 30, no czasem i 40 kop. na pudzie." Ta odmienna forma lichwy jest bardzo rozpowszechnioną, dzięki tylko temu, że wytwórca zbożowy nie może się obejść bez pośredników i łatwo się poddaje ciężkim warunkom umowy, nie obliczywszy wprzód sił swoich. Pewne koło rolników w kieleckich stronach postanowiło gromadnie wypowiedzieć wojnę temu wyzyskowi spekulantów. Zaprojektowało ono założenie magazynu zbożowego na stacyi Miechów kolei Dąbrowskiej, która ofiarowała bezpłatnie plac pod budynek i przyrzekła wydawać zaliczki na zboże, w razie przyjścia do skutku tego projektu. Zamiar piękny i warunki dla urzeczywistnienia przyjazne. Życzyć tylko należy, iżby nie stanęła mu na przeszkodzie jaka prywata.

Pod jedym tylko względem można liczyć na niespożytą energię i zapał niesłabnący: gdy chodzi o urządzanie wyścigów. Patrząc na spór Piotrkowa z Częstochową o zagarnięcie wyścigów z Pławna, zdaje się, iż tu idzie co najmniej o poruszenie świata z posad. Częstochowa zachwala swoją gościnność następującemi dogodnościami: 1) bliskość granic Galicyi i Szląska pruskiego ułatwiająca mieszkańcom tych prowincyj zapoznanie się z torami i z pp. hodowcami wyścigów; 2) niewielka odległość punktów fabrycznych: Sosnowca, Dąbrowy, Zawiercia i Myszkowa, która pozwala wnioskować, że napływ widzów będzie bardzo liczny; 3) Częstochowa najbliższym jest punktem dla głównych hodowców, biorących czynny udział w wyścigach pławieńskich; 4) gród jasnogórski ściąga do swej świątyni całą niemal ludność z Królestwa. Każdy z tych warunków a szczególnie ostatni, powinien zachęcić Towarzystwo do wybrania Częstochowy. Dla czegożby ludek pobożny, zwydatkowawszy się na ofiary, krzyżyki, obrazki i medaliki, nie miał po modlitwie i oczyszczeniu się z grzechów, zabawić trochę wyścigami i, jak dobrze pójdzie, zgrać się w totalizatora z reszty grosza zebranego na pielgrzymkę?!

Drogomir.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Komitet główny Towarzystwa przemysłu i handlu w Petersburgu złożył p. ministrowi skarbu nowy projekt obowiązkowego ubezpieczenia robotników fabrycznych od nieszczęśliwych wypadków.

— Zarządy dóbr państwowych otrzymały polecenie, aby w tych miejscowościach, gdzie ludność wiejska wskutek nieurodzaju potrzebuje środków do życia i paszy dla inwentarza, dopuścić włościan w r. b. do lasów skarbowych, zbierania w nich jagód, grzybów i innych płodów, tudzież do koszenia trawy z polanek i łąk leśnych nieoddanych w dzierżawę.

— Dla zaopatrywania w żywność okręgu tambowskiego, dotkniętego nieurodzajem, zgromadzenie ziemskie postanowiło starać się o pożyczkę 1,200,000 rs. zaś kirsanowskie — o 1,500,000 rs.

— Gubernatorowie otrzymali okólnikowe polecenie zbierania danych o miejscach, gdzie spodziewane są największe nieurodzaje i dostarczenia ludności sposobów obsiania pól. Zebrania ziemskie powinny się zająć sposobami najskuteczniejszej pomocy. Zawezwano także gubernatorów o wyrażenie zdania co do robót, mogących dostarczyć zarobków potrzebującym. Na miejsce delegowanych będzie kilka osób dla przedsięwzięcia w razie potrzeby nadzwyczajnych środków.

— Wydano przepisy dodatkowe bezpieczeństwa w kopalniach. Ważniejsze punkty: użycie lampek górniczych starej konstrukcyi, z wyjątkiem lamp bezpieczeństwa Pillera i Davy'ego, jest surowo wzbronionem. W razie wykrycia obecności gazu piorunującego, powinny być natychmiast przedsięwzięte środki ostrożności. Wzbronione jest używanie do min prochu czarnego, dynamitu, piroksyliny i innych materyj wybuchowych, szczególnie takich, których skład nie jest dostatecznie znany. Nadto przepisy obejmują obszerną instrukcyę, dotyczącą wentylacyi kopalni.

— Utrzymywanie składów aptecznych dozwolone będzie wyłącznie osobom, posiadającym odpowiednie wykształcenie farmaceutyczne. Nie mogący zadość uczynić temu warunkowi, będą musieli trzymać prowizorów, odpowiedzialnych wobec urzędu lekarskiego.

— Gminy żydowskie w Krakowie dopomagają swoim współwyznawcom w emigracyi do Ameryki. W cia-

gu trzech dni wysłano przeszło 150 wychodźców do Argentyny, kosztem przeszło 15,000 zlr. Mają otrzymać tam po 200 morgów ziemi, od której w pierwszych latach posiadania płacić będą bardzo mały procent.

— Ministeryum spraw wewnętrznych wniosło do komitetu ministrów projekt ograniczenia kolonizacyi cudzoziemskiej w gub. wołyńskiej. Jako środki tymczasowe, dodano: 1) Zabronić na przyszłość pozostającym w poddaństwie ruskiem kolonistom cudzoziemskim, emigrantom zagranicznym, oraz mieszkańcom Królestwa Polskiego osiedlenia się z wyjątkiem miast w gub. wołyńskiej i nabywania tam własności ziemskiej; osoby, które się tam osiedlą po wydaniu tych przepisów, mają być wysyłane drogą administracyjną do miejsca stałego zamieszkania. 2) Nadać prawo generał-gubernatorom: kijowskiemu, wołyńskiemu i podolskiemu, uwalniania od poddaństwa ruskiego kolonistów cudzoziemskich, z prawem usunięcia się za granicę.

— Z powodu zapowiedzianej w Petersburgu wystawy straży i narzędzi ogniowych, poruszono projekt utworzenia inspektorów ogniowych, obeznanych z ratunkiem, kierownictwem i obchodzeniem się z narzędziami ratunkowemi. Obowiązkiem ich będzie objeżdżać wioski i zaznajamiać lud z tą czynnością; szkoły instruktorów strażackich otwarte będą prawie we wszystkich miastach gubernialnych, gdzie istnieją stałe straże ogniowe, utrzymywane kosztem rządu lub miasta. Powstaną one w Warszawie, Lublinie i Siedlcach, gdzie istnieją stałe straże z końmi i taborem.

Szkoły. Okrąg naukowy na przedstawienie dyrektorów gimnazyów warszawskich, zażądał od magistratu 1,500 rs. rocznie na dezinfekcyę lokalów szkolnych, które w dnie świąteczne zajmowane są przez szkoły rzemieślniczo-niedzielne.

— Rady pedagogiczne gimnazyów i progimnazyów otrzymały upoważnienie do wyznaczania w wypadkach szczególnie zasługujących na uwzględnienie, dodatkowych egzaminów dla tych wychowańców, którzy nie czyniąc zadość warunkom wymaganym dla przyjęcia do wyższej klasy bez egzaminu, ale będąc wogóle starannymi uczniami, nie mogli wcale stawić się na egzamin, lub musieli go przerwać.

— Na przyszłym zjeździe profesyonalistów w Moskwie będzie poruszona sprawa przekształcenia szkół handlowych w ten sposób, iżby uczniowie nabywali więcej wiadomości praktycznych.

— Przy warszawskim okręgu naukowym ustanowiono specyalną komisyę do egzaminowania na stopień techników ministeryum komunikacyi. Kandydaci powinni przedstawić świadectwo z ukończenia średnich zakładów naukowych, tudzież z odbycia praktyki przy robotach niwelacyjnych lub innych zajęciach inżenierskich.

— Dyrekcya kowieńska szkół ludowych dla zaznajomienia nauczycieli ludowych z gimnastyką, wysłała stu do seminaryum nauczycielskiego w Poniewieżu.

— Według doniesień dzienników petersburskich, z początkiem roku szkolnego w wielu gimnazyach wprowadzony będzie wykład rzemiosł. Na początek introligatorstwo, stolarstwo i tokarstwo.

— Niedawno ukończono w ministeryum oświaty prace przygotowawcze, celem otwarcia nowego szeregu szkół zawodowych w różnych miejscowościach państwa.

— Ministeryum oświaty poleciło, iżby we wszystkich bibliotekach i czytelniach było wywieszone w widocznem miejscu rozporządzenie, zabraniające uczniom szkół średnich uczęszczać do lokalów, mieszczących biblioteki i czytelnie, jak również otrzymywać z nich książki bez specyalnego pozwolenia władzy naukowej. Za niewykonanie tego przepisu odpowiedzialni są gospodarze powyższych zakładów, którzy zarazem obowiązani są donosić władzy naukowej o tego rodzaju przekroczeniach.

Sprawy kolejowe. Nowe domy mieszkalne dla urzędników będą wybudowane na stacyach kolei Wiedeńskiej: w Pruszkowie, Płyćwi, Rogowie, Babach, Gorzkowicach i Łazach. Ogólny koszt wyniesie 45 600 rs.

— Przy warsztatach głównych mechanicznych kolei Wiedeńskiej urządzona będzie suszarnia drzewa, na co wyznaczono 7,500 rs.

— Zarządy wielu kolei zwróciły się do władzy z prośbą o wzmocnienie nadzoru żandarmeryi na stacyach, z powodu coraz częściej powtarzających się wypadków kradzieży towarów i bagaży pasażerskich.

— Według *Grażdanina* istnieje projekt zaopatrzenia całej obsługi kolejowej w numery na czapkach. Będzie to numer pociągu, odbijany jednocześnie na biletach, w celu ułatwienia podróżnym wynajdywania odpowiedniego pociągu, tam, gdzie się ich kilka krzyżuje na stacyi.

— Główne Towarzystwo kolei ruskich, które od marca r. b. wprowadziło zniżenie ceny biletów o 75% dla rodzin urzędników kolei obcych, obecnie skasowało tę zniżkę.

— Kolej Wiedeńska od 13 go b. m. do 13 sierpnia zapewnia przejazd bezpłatny dla osób powracających z VI zjazdu lekarzy i przyrodników w Krakowie.

— Jak zapewniają *Peterb. Wied.*, minister skarbu ma znieść inspekcyę rządową na kolejach prywatnych, a natomiast powiększyć odpowiedzialność zarządzających koleją za techniczny stan linii. Zarządy mają przedstawiać trzech kandydatów na posadę zarządzającego i nie mają prawa usuwać zatwierdzonej przez władzę osoby bez upoważnienia ministra komunikacyi; natomiast sam minister ma prawo usuwania zarządzającego bez zgody kolei.

— *Peterb. Wied.* piszą, iż w jesieni do Królestwa Polskiego i prowincyj Nadbałtyckich wydelegowani będą urzędnicy dla sprawdzenia znajomości języka ruskiego urzędników kolejowych. Nie czyniący zadość wymaganiom będą wydaleni.

Zjazdy. W sprawie przeciwdziałania odszczepieństwu i sekciarstwu w Rosyi, naznaczono na 10 lipca zjazd i narady w Moskwie misyonarzy ze wszystkich okolic zarażonych sekciarstwem.

— W Petersburgu odbędzie się zjazd weterynarzy.

Przemysł i handel. W Warszawie powstaną wkrótce dwie nowe fabryki: chemiczna dla wyrobu barwników i białoskórnicza.

— W gub. środkowych cesarstwa powstaje Towarzystwo pośrednictwa w handlu zbożowym i ułatwienia dostaw do armii.

— Ministeryum skarbu postanowiło, obliczać od 13 lipca r. b. bez akcyzy spirytus, przeznaczony na wywóz za granicę, oczyszczony i nieoczyszczony, wyprodukowany po 13 lipca w stosunku 4%, zaś przed tym terminem — w stosunku $4^1/_2$.

— Ostatecznie zdecydowane sprawę utworzenia przy ministeryum dóbr państwa oddziału drobnego przemysłu wiejskiego.

— W Łodzi zawiesiła wypłaty fabryka wyrobów pasmanteryjnych pod firmą J. L. Pasywa wynoszą około 80,000 rs.

— Zakłady Putiłowskie otrzymały pierwsze zamówienie na szyny dla kolei Syberyjskiej za milion rubli.

— Zaprojektowano utworzenie w głównych punktach handlu chmielem składów i sortowni tego produktu. Jednocześnie w takich miejscowościach mają być utworzone domy komisowe w celu pośrednictwa pomiędzy wytwórcami i nabywcami.

— *Wiest. finan. prom. i torg.* dowodzi, iż znaczne podrożenie mąki w ostatnich czasach wywołane zostało skutkiem spekulacyi na zwyżkę.

— Ministeryum dóbr państwa otworzy wkrótce sześć obór zarodowych w kilku guberniach.

Wystawy. W dn. 1 sierpnia w Bernie otwarta będzie wystawa środków nauczania geografii.

— W dn. 9 czerwca otwarto we Wrocławiu międzynarodową wystawę maszyn.

— W Wiedniu otwarta będzie i września wystawa gospodarska.

Konkurs. Komitet warszawskiego Towarzystwa muzycznego ogłasza konkurs na opracowanie polskich pieśni ludowych. Mają być one na głos pojedynczy z akompaniamentem fortepianu, lub też na chór mieszany z takimże akompaniamentem, albo orkiestrowym. Każdy z ubiegających się powinien przedstawić najmniej trzy pieśni. Tematy mogą być zaczerpnięte ze zbioru pieśni ludowych (Kolberga, Lipińskiego, Rogera i innych). Teksty nieprzywzwolite wykluczone. Do każdej pieśni dołącza się najmniej trzy zwrotki. Termin 1 listopada r. b. Nagrody trzy: rs. 25, 15 i 10. Nadto utworom względnie dobrym udzielane będą odznaczenia honorowe.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu E. B. w Niemierczach. Adres *Wisły*: księgarnia Arcta, Warszawa Nowy-Świat 53. Na prowincyi: rocznie rs. 7, półrocznie rs. 3 k. 50.

Pani E. K. Książka ta wydana być nie może.

Pani Gabryeli H. w Szwajcaryi. W drugim liście nie podała nam Pani miejsca pobytu, tylko ulicę.



Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. [illegible] Цензурою, Варшава 28 Іюня 1891 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.